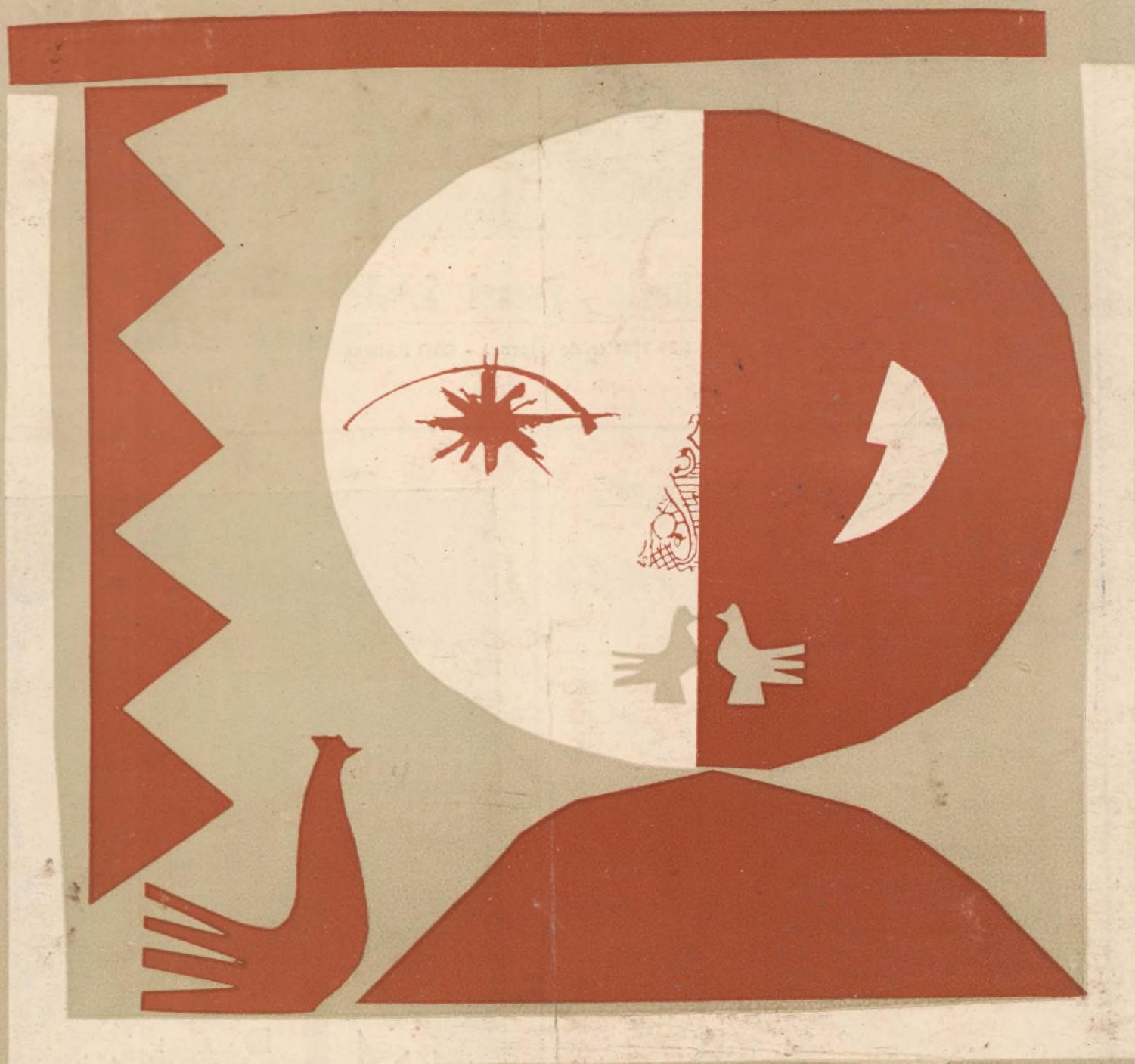


ANO V - ABRIL 1964

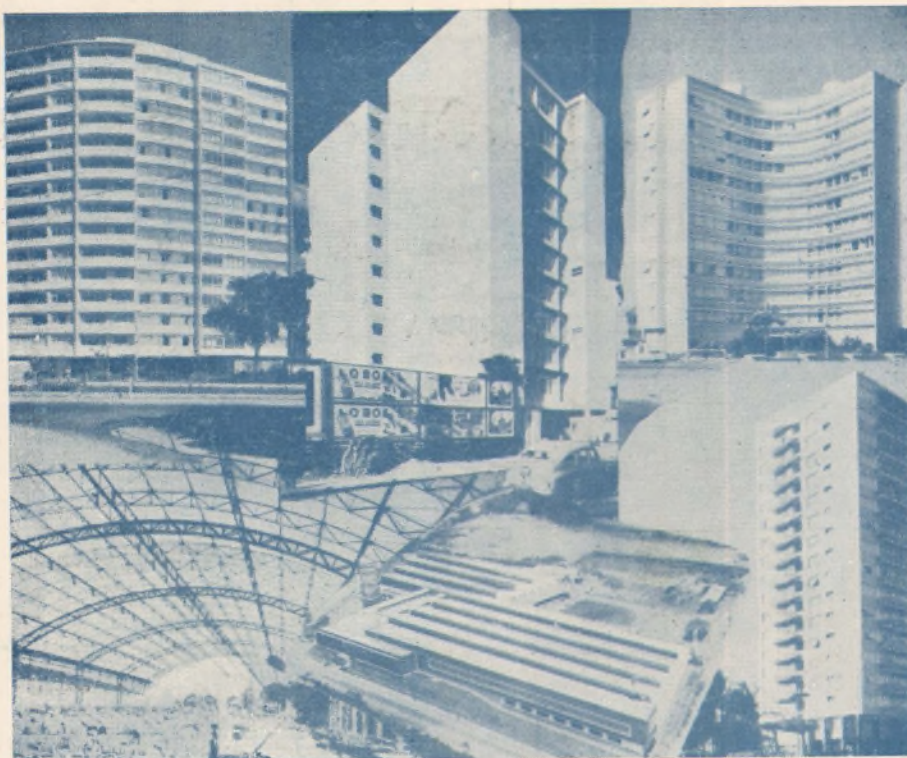
N.º 40

pp

przegląd polski



revista polonêsa



Organização completa de
construções e projetos
de edifícios
industriais,
residenciais
e obras de
engenharia

12 ANOS DE
TRADIÇÃO

Construtora e Imobiliária Tresel S. A.

AVENIDA S. JOÃO, 1086 - 4.º And. - FONE 36-7186 (rêde interna) - SÃO PAULO



"INTRA FERRO"

Indústria de Trefilação de Ferro Ltda.

Trefilação de metais não ferrosos:

Alumínio

Alpaca

Cobre

Latão

Av. Celso Garcia 1.338

phones: 93-1471

São Paulo

**REBÔLOS
ESPECIAIS**

LIGAS:

- VITRIFICADA
- RESINOIDE
- GOMA-LACA

MBM

INDUSTRIA DE ABRASIVOS S.A.

Rua Fernandes Vieira, 174 - Belém - Fones: 92-2764 e 93-9700

Elektryczne instalacje przemysłowe
niskiego i wysokiego napięcia

E L O B R A

OBRAS ELÉTRICAS LTDA.

Brigadeiro Tobias 356 — 10.º Conj. 103 — Tel.: 34-0806

SÃO PAULO

Paczki i pieniądze

DO POLSKI I ZWIĄZKU SOWIECKIEGO

P. K. O. — Warszawa

Tazab — London

Zastępstwo:

Empresa — J. RAJIC LTDA.

Praca da Sé, 399 — 4.º

Telefon: — 33-4983 i 36-8530

SÃO PAULO — BRASIL



KUBKI PAPIEROWE

do 1 ltr pojemności

BUTELKI PAPIEROWE

(Container's)

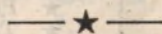
Talerzyki i kubki papierowe

Na uroczystości, pikniki, etc. (Fantasia)

Opakowania specjalne dla super-mercados, fabryk konserw, etc.

INDÚSTRIA INAJÁ

Artefatos, Copos, Embalagens de Papel S.A.



Fábrica: Rua Clelia, 1642 — Fone: 62-8631 — SÃO PAULO

End. Telegr.: "COPINDUS"

Embeleze seu Lar

E VALORIZE SEU TV TORNANDO-O

MODERNO, FUNCIONAL E AGRADÁVEL

Mesas ELEM para TV

PROCURE NAS LOJAS ESPECIALIZADAS

WEEK-ENDY I WAKACJE

RANCHO BOA ESPERANÇA, SÃO JOÃO NOVO

1.000 m. n.p. morza, źródła wody mineralnej, uroczne spacerzy,
konie pod wierzch, owoce.

Apartamenty z wodą bieżącą i światłem elektrycznym, kuchnia polska. — CENY UMIARKOWANE.

Odległość od São Paulo — koleją 1 i ½ godz. Estr. Sorocabana lub drogą kołową via Estr. Raposo Tavares do Mayla-skiski, a stamtąd 7 klm. do S. João Novo.

Informacje telefonicznie: tel.: 35-5584 lub

Caixa Postal, 6335, São Paulo.

Tel.: SÃO JOÃO NOVO N.º 9

JEDNODNIÓWKA

California News

Niezależne pismo miesięczne. Ciekawe artykuły i wiadomości ze Stanów Zjednoczonych, głównie z Kalifornii i Arizony.

Prenumerując "Jednodniówkę" nie płacisz w dolarach. Wystarczy, że przysyłasz używane znaczki pocztowe z Południowej i Centralnej Ameryki.

Zamówienia należy kierować pod adresem:

B. A. Zaremba, 6481 E. Florence ave
BELL GARDENS, Cal. U. S. A.

CONSTRUÇÕES MECÂNICAS

ROZENOWICZ LTDA.

Transportadores

Alimentadores

Elevadores

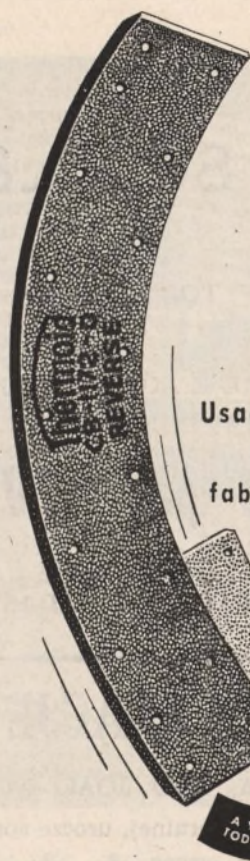
Peneiras

Moinhos de martelos

Estruturas metálicas

Rua da Balsa, 10 PIQUERI

Cx. Postal, 11.912 — SÃO PAULO



Lona de Freios



- para qualquer carro!

Usada como equipamento original pelos maiores fabricantes de automóveis e caminhões dos EE. UU.



- Brecadas mais rápidas
- Temperatura sempre baixa
- Duração mais longa
- Paradas mais suaves

Produzido no Brasil sob licença exclusiva e supervisão da THERMOID COMPANY, TRENTON N.J. U.S.A. por

PLÁSTICOS DO BRASIL S. A.

Avenida "F" (Travessa da Av. Tomaz Edison, 1251 - Barra Funda) — Fones 34-7413 - 35-9618 e 35-6726 — Cx. Postal 16327 (Casa Verde — SÃO PAULO.

Publitem 63-14

A VENDA EM TODO O BRASIL NAS MELHORES CASAS DO RAMO

KORZYSTAJCIE Z USŁUG

Companhia para Expansão da Construção

"COEXCO"

COEXCO inkorporuje nowoczesne i komfortowe domy mieszkalne. W domach COEXCO rozmieszczenie mieszkań, ich wykończenie i estetyka pozostają na najwyższym poziomie.

Pięć zasad COEXCO:

niezawodny termin
stała, niezmienna cena
własne tereny
staranne wykończenie
sprzedaż na raty

COMPANHIA PARA EXPANSÃO DA CONSTRUÇÃO "COEXCO"

São Paulo, r. São Bento, 279 — 12 piętro. Tel. 33-4737

Caldeiraria e Mecânica INOX Ltda.

ESPECIALIZADOS EM AÇO INOXIDÁVEL — COBRE — ALUMÍNIO — FERRO —



RESERVATÓRIOS
AUTOCLAVES
CALDEIRAS
TANQUES
TACHOS



EQUIPAMENTO P/INDÚSTRIAS

- ★ Química - Farmacêutica
- ★ Gorduras - Sabões
- ★ Perfumarias - Cosméticos
- ★ Têxtil - Tinturarias
- ★ Papel - Papelão
- ★ Conservas - Chocolates
- ★ Carnes - Frigoríficos
- ★ Laticínios - Pasteurizados
- ★ Bebidas - Distilarias
- ★ Plásticos - Borracha
- ★ Tratamento de água

ESCRITÓRIO E FÁBRICA:
Rua Oliveira Lima, 455
C a m b u c i

Fone: 35-4995
SÃO PAULO

Indústria Metalúrgica STELLA LTDA.

TUBOS "ELETRODUTOS"

TUBOS TREFILADOS

TUBOS PARA QUALQUER FIM INDUSTRIAL

Escritório: — Rua Conselheiro Crispiniano

N.º 53 — 9.º andar — conj. 93

Telefones: — 35-9189 e 35-9180

SÃO PAULO

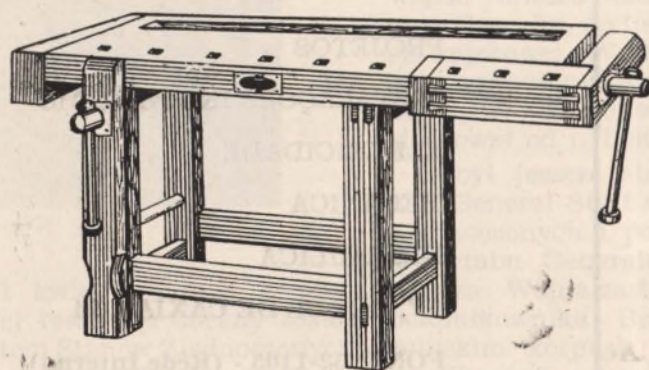
Fábrica — Via Monteiro Lobato, 3097

Guarulhos

INDÚSTRIA DE MADEIRAS



RUA SOUZA LIMA, 200 — TEL.: 52-3942, — SÃO PAULO



Fabrykuje solidne warsztaty dla stolarzy, modelarzy i amatorów jak również dla ślusarzy, jubilerów i t. p. Posiadamy duży zapas warsztatów gotowych.

PASSAGENS AÉREAS

O U

MARÍTIMAS A PRAZO

Para qualquer parte do
BRASIL
e do
MUNDO

Vendas e Informações:
PELA COMPANHIA DE SUA
PREFERÊNCIA.

Agência Geral

"TOUR-BRASIL"

Avenida Ipiranga, 1129

Telefones:

37-8671

36-5402

36-1740

**PREPARAMOS A
DOCUMENTAÇÃO.**

Tipografia

ALADA LTDA.

Rua Vitória, 237 Tel.: 35-2994

SÃO PAULO

Druki handlowe wszelkiego
rodzaju

Zaproszenia na śluby

Karty wizytowe

Stemple

WYKONANIE SOLIDNE

I TERMINOWE

"BRASTRAF" INDÚSTRIA DE TREFILAÇÃO S. A.

Trefilação de:

Tubos de aço com ou sem costura.

Barras cheias redondas e com todos os perfis.

Arame de aço.

**Rua Ibitirama, 1.800
V. Prudente
Enderêço telegráfico
"BRASTRAF"**

**Enderêço para correspondência
Rua 7 de Abril, 252 — 10.º**

**Fones: 63-3100
63-3109**

SÃO PAULO

HENRYK ZYLBERMAN

Eng. Com. Ind. S. A.

Rua 24 de Maio, 35 9.º. — Tel.: 34-7127

SÃO PAULO

Avisa seu próximo lançamento:

UMA GARAGEM AUTOMÁTICA

e

UM PRÉDIO PARA ESCRITÓRIOS

NA RUA BARÃO DE ITAPETININGA, 107 - 111

AGUARDEM!



Sociedade Paulista de Instalações Gerais S. A.

PROJETOS

INSTALAÇÕES INDUSTRIAIS

ELETRICIDADE

MECÂNICA

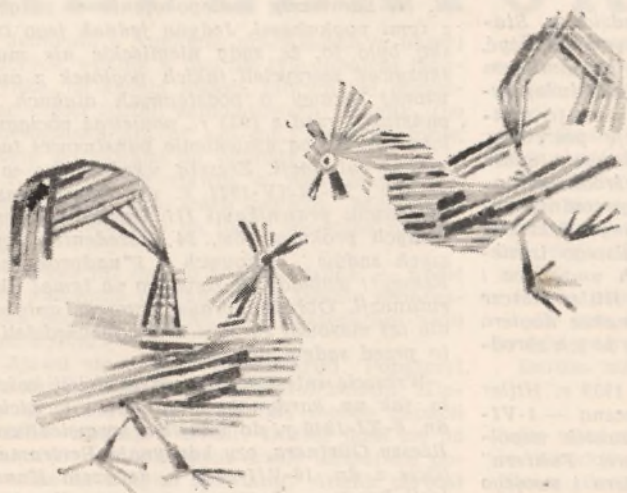
HIDRAULICA

AV. DUQUE DE CAXIAS, 94

FONE: 52-1105 - (Rêde Interna)

End. Electr.: "SPIGERAL"

São Paulo



REDADORES RESPONSÁVEIS: Casimiro Kinskowski e Sigismundo Schlegel.

REDATOR CHEFE: Seweryn A. Hartman

DIRETOR ADMINISTRATIVO: Sergio Elia.

REPÓRTER: José Fassina

REVISOR: Adelio Buono

EDITADA: pela Revista Polonêsa.

Redação e Administração: Av. Ipiranga, 1071 - 8.º - S/811/12
Cx. Postal 4530 - Fone: 35-5432 — São Paulo — Brasil.

Assinaturas: Cr\$ 1.200,00 anuais (12 números). Para os estados do Paraná, Santa Catarina e Rio Grande do Sul Cr\$ 800,00.

Para o exterior: US \$ 3,00.

Composto e impresso na "GRÁFICA VICENTINA LTDA." —
Alameda Cabral, 846 — Curitiba — Paraná



POLITYKA I RZECZYWISTOŚĆ — POLITYKA I RZECZYWISTOŚĆ — POLITYKA

PREZYDENT STANÓW ZJEDNOCZONYCH BRAZYLII CASTELLO BRANCO



Przeznaczony przez ojca-generała do służby wojskowej po ukończeniu szkoły kadetów i otrzymaniu pierwszego stopnia oficerskiego rozpoczął w r. 1921 służbę w 12 pułku piechoty, aby następnie uzupełnić studia w Szkole Sztabu Generalnego, w której był później instruktorem. Przeszedł potem do Instytutu Historii Wojska jako wykładowca taktyki i dziejów wojskowych.

W latach trzydziestych pełnił obowiązki oficera łącznikowego przy gen. Gamelin, szefie francuskiej misji wojskowej. W związku z tą służbą wyznaczony został do Wyższej Szkoły Wojskowej we Francji, gdzie studiował od r. 1936 do 1938.

Odbił jeszcze staż w Command and General Staff w Armii Stanów Zjednoczonych i powrócił do Szkoły Sztabu Generalnego w stopniu majora. Wojna zastała go w stopniu podpułkownika. Brał udział w brazylijskim korpusie ekspedycyjnym we Włoszech jako szef operacyjny. Po wojnie znalazł się znowu w Szkole Sztabu Generalnego, gdzie w roku 1952 dosłużył się rangi generała.

Dalsza kariera wojskowa prez. Castello Branco przedstawia się następująco (w dużym skrócie): w r. 1952 był komendantem 10 Okręgu

Wojskowego, potem komendantem Szkoły Sztabu Generalnego (w latach 1955-56), komendantem 8 Okręgu Wojskowego (w latach 1958-60), dyrektorem departamentu oświaty armii. W r. 1958 otrzymał nominację na generała dywizji, a w 1962 — generała broni.

Nowy prezydent Brazylii jest wdowcem. Ma dwoje dzieci i siedmioro wnuków. Odznacza się nieskazitelną uczciwością, ogromną pracowitością i sumiennością. Cała Brazylia pokłada w prez. Castello Branco wielkie nadzieje. My ze swej strony życzymy prezydentowi z całego serca jak najpomyślniejszych rządów i sukcesów w trudnej i pełnej poświęceń służbie dla Narodu.

W TYM NUMERZE:

m. in.:

— opowiadanie H. Przyborowskiego "Zośka",

— "Mój angielski krewny", Miry Sławińskiej,

— "Delegado", J. Krawczyka,

— oraz wiele innych ciekawych artykułów i opowiadań.

Dnia 11 kwietnia br. w wyniku zwycięskiej rewolucji obrany został Prezydentem Stanów Zjednoczonych Brazylii marszałek Humberto de Alencar Castello Branco.

Nowy prezydent jest potomkiem starej rodziny brazylijskiej, wywodzącej się od kapitana armii portugalskiej, skarbnika królewskiego, Francisco da Cunha Castello Branco.

EUTANAZJA - ŚMIERĆ "Z ŁASKI" HITLERA

18 lutego br. przed zachodnoniemieckim sądem przysięgłym w Limburgu rozpoczął się proces przeciwko hitlerowskim organizatorom masowej likwidacji nieuleczalnie chorych. Niestety, z czterech oskarżonych stanął przed sądem tylko jeden — dr Hans Hefelmann. Dwaj inni — dr Friedrich Tillmann i dr Werner Heyde, wybrali niedawno śmierć samobójczą. Nie ma zresztą pewności, czy to istotnie były samobójstwa, czy też upozorowane skrytobójstwa. Wiadomo przecie, że główny oskarżony — dr Heyde, zapowiadał rewelacje, że mianowicie w toku przewodu sądowego ujawni licznych współników zbrodniego spisku, z których wielu zajmuje dziś eksponowane stanowiska lekarzy i profesorów uniwersyteckich w NRF. Wiadomo też, że oskarżonym prozito co najwyżej dożywotnie więzienie, karę śmierci bowiem w NRF przezniesiono. Ostatni wreszcie z oskarżonych — dr Böhne, wybrał za przykładem wielu innych zbrodniarzy "wolność" i uciekł do Argentyny, przy czym jego ucieczka świadczy co najmniej o nieudolności organów prokuratorskiego nadzoru. Już w toku procesu nastąpiło aresztowanie dra Böhne w Argentynie. Czy jednak stanie on przed sądem zachodnoniemieckim — to jeszcze trudno powiedzieć. Proces więc rozpoczął się przy udziale tylko jednego z oskarżonych czołowych eutanastów III Rzeszy — dr Hansa Hefelmanna, co pozwala przypuszczać, że proces nie ujawni całego ogromu zbrodni, a przede wszystkim nie zdemaskuje wszystkich jej żyjących współcześnie w NRF współautorów, wykonawców czy pomocników.

Warto przypomnieć, że w Niemczech przedwojennych problem eutanazji — bezbolesnej śmierci, jaką zadaje lekarz w celu skrócenia cierpienia beznadziejnie chorego — był przedmiotem szczególnie żywej dyskusji w literaturze medycznej i prawniczej i miał wielu gorących zwolenników, mimo że według obowiązującego w III Rzeszy kodeksu karnego (§ 216 StGB) zabójstwo nieuleczalnie chorego, nawet na jego własne żądanie, podlegało karze (nie niższej niż 6 miesięcy więzienia).

Wstępem do eutanazji w hitlerowskim wydaniu było niewątpliwie wprowadzone od 14-VI-1933 r. ustawodawstwo eugeniczne — oświadczone "ustawa o zabezpieczeniu się przed dziedzicznie obciążonym potomstwem" która pozwalała sterylizować każdego podejrza-

nego o obciążenie chorobą dziedziczną. Stała się ona powodem do licznych nadużyć, które jeszcze i dziś są w NRF przedmiotem procesów sądowych, zresztą z zadziwiającymi często rezultatami. Jeżeli ustawa ta miała na celu biologiczną selekcję pożyteczną, profilaktykę eugeniczną, to eutanazja miała być najbardziej drastycznym środkiem hodowli nowej rasy — przez bezpośrednią zagładę wszelkiego życia, które w myśl doktryny hitlerowskiej było niegodne dalszego istnienia. Plany zagłady wszystkich umysłowo i nieuleczalnie chorych rozważał Hitler jeszcze w okresie przedwojennym. Jednakże dopiero wojna stała się dla niego okazją do ich zbrodnego wprowadzenia w czyn.

Już pod koniec października 1939 r. Hitler tajnym "dekretem" z datą wsteczną — 1-VI-1939 r. — upoważnił bliskich swoich współpracowników: szefa "kancelarii Führera" Reichsleiters Philippa Bouhlera i swojego osobistego lekarza dr med. Karla Brandta, komisarza Rzeszy do spraw sanitarno-zdrowotnych — do obdarzania wszystkich beznadziejnie chorych "śmiercią z łaski". Bouhler wraz ze swoim zastępcą Victorem Brackiem i Brandt — w porozumieniu z Reichsärztführerem dr Leonardo Contim, ówczesnym podsekretarzem stanu do spraw zdrowia w Min. Spraw Wewnętrznych Rzeszy i dr Lindenem, pełnomocnikiem do spraw szpitalnictwa psychiatrycznego i zakładów opiekuńczych, uruchomił maszynę zbrodni. Akcję zamaskowano kryptonimem "T4", od adresu "kancelarii Führera" w Berlinie — Tiergartenstrasse 4. Bouhler i Brandt powołali kilkunastoosobowy sztab rzeczoznawców — lekarzy, do którego weszli m. in. dr. Heyde, dr. Böhne i sądzony obecnie w NRF dr Hefelmann. Oni właśnie mieli decydować o życiu i śmierci umysłowo chorych.

Conti i Linden oddali im do dyspozycji personel szpitali i zakładów. "Stowarzyszenie szpitali psychiatrycznych i zakładów opiekuńczych" wysłało do wszystkich podległych sobie zakładów kwestionariusze w sprawie stanu zdrowia i zdolności do pracy podopiecznych. Rzeczoznawcy — dr. Heyde, dr. Nitsch, dr. Mennecke i prof. de Crinis — decydowali o przeniesieniu wybranych pacjentów do zakładów przejściowych. Stamtąd była tylko jedna droga: do "zakładów eutanastycznych" — m. in. w Hadamarze w Hesji, w Hartheimie koło Linzu i w Grafenecku w Wirtembergii — którym kierował dr Horst Schumann, zbrodniarz poszukiwany za przeprowadzane później w Oświęcimiu eksperymenty na więźniach, w celu znalezienia taniej i skutecznej metody masowej sterylizacji, a który po wojnie zbiegł i obecnie jest lekarzem w Ghanie; dalej w Brandenburgii koło Berlina, w Sonnenstein, w Irrsee koło Kaufbeuren w Bawarii i innych. Tam zabijano nieszczęsne ofiary śmiertelnymi zastrzykami, tabletkami czy po prostu truto w komorach gazami spalinowymi. Mózgi zamordowanych były cennym materiałem doświadczalnym dla patologów: otrzymywali je setkami m. in. prof. Hallervorden, prof. Schneider czy wspomniany prof. de Crinis.

Transportowaniem chorych do zakładów śmierci zajmowało się "Stowarzyszenie użyteczności publicznej przywozu chorych" spółka z o.o. odp., a całą akcję finansowała "Fundacja opieki nad szpitalami".

Tempo zagłady było niezwykle szybkie. Wkrótce objęła ona dziesiątki tysięcy pensjonariuszy szpitali i zakładów.

Nagminność wypadków niespodziewanej śmierci umysłowo chorych wzbudziła w społeczeństwie niemieckim podejrzenie, że umierają oni śmiercią gwałtowną, celowo im zadaną. Szerzyły się pogłoski, że ich śmierć jest potrzebna dla polepszenia sytuacji aprowizacyjnej III Rzeszy. Dr. Franz Schlegel-

berger, ówczesny podsekretarz stanu w Min. Sprawiedliwości Rzeszy, dał wyraz w liście z marca 1941 r. do szefa Kancelarii Rzeszy dr H. H. Lammersa zaniepokojeniu w związku z tymi pogłoskami. Jedyną jednak jego troską było to, że sądy niemieckie nie mogą skazywać szerzycieli takich pogłosek z oświadczonej ustawy o podstępnych atakach na państwo i rząd z 1933 r., ponieważ pociągnęłyby to za sobą ujawnienie państwowej tajemnicy eutanazji. Zresztą wkrótce, bo w w dniach 23-24-IV-1941 r. wysłuchał wraz z czołowymi prawnikami III Rzeszy (34 generalnych prokuratorów, 34 prezydentów wyższych sądów krajowych i 1 nadprokurator Rzeszy!) wykładu dr Heydego na temat akcji eutanazji. obrońcy prawa wyrazili aprobatę dla tej masowej zbrodni. Nie odpowiedzieli za to przed sądem do dziś.

Wreszcie interwencje przedstawicieli kościoła, jak np. kardynała Faudhabera w liście z dn. 6-XI-1940 r. do ministra sprawiedliwości Rzeszy Gürtnera, czy kardynała Bertrama w liście z dn. 16-VII-1941 r. do szefa Kancelarii Rzeszy — Lammersa, przyczyniły się do tego, że sprawy postanowili zaniechać dalszych zbrodni, nie dlatego, że były one sprzeczne z prawem, lecz dlatego, że tajemnica wyszła na jaw. Poinformowany o tym Hitler polecił Brandtowi w sierpniu 1941 r. w Kwaterze Głównej wstrzymanie eutanazji. Brandt natychmiast zawiadomił telefonicznie Bouhlera w Berlinie. Ale dotyczyło to tylko dorosłych. Upośledzone fizycznie czy psychicznie dzieci zabijano nadal. Zajmowała się tym "Komisja do naukowej rejestracji ciężkich chorób dziedzicznych", która już od sierpnia 1939 rejestrowała wszystkie przypadki fizycznych anomalii noworodków. Upoważnione przez nią tzw. "wydziały dziecięce" miały prawo udzielać "pomocy do śmierci" takim dzieciom — oczywiście bez wiedzy ich rodziców. Akcja dzieciobójstwa obejmowała początkowo dzieci do lat 3, później wiek podniesiono do 8, 12 a nawet 17 lat. Zabijano je zastrzykami, truciznami czy po prostu głodem w zakładach Eichberg, Idstein, Kantenhof czy Gorden. Z "dobrodziejstwa" dziecięcej eutanazji korzystały w tych zakładach także odebrane rodzicom, czy bezdomne dzieci żydowskie, żydowskich mieszczków, polskie czy rasyjskie — tylko dlatego, że były one "gorsze rasowo" i były nieprzydatne jako siła robocza.

Istnieje wiele dowodów na to, że praktyki eutanazyjne stosowano we wszystkich szpitalach III Rzeszy wobec obcokrajowców — robotników wywiezionych na przymusowe roboty, gdy stwierdzono u nich choroby umysłowe, bądź choroby, które nie rokowały nadziei na szybkie odzyskanie zdolności do pracy.

Należy wątpić, czy liczba 100 tysięcy wymordowanych, przyjęta przez sąd przysięgłych w Düsseldorfie, który w 1948 r. skazał b. rzeczoznawcę w sprawach eutanazji, dr. Mennecke, obejmuje także ofiary hitlerowskiej eutanazji w krajach okupowanych. W Polsce okupowanej obdarzenie "łaską śmierci" wzięła na siebie hitlerowska policja bezpieczeństwa, która bądź to zlikwidowała wszystkich pacjentów poszczególnych zakładów psychiatrycznych w egzekucjach na miejscu, często wraz z personelem lekarskim, żeby się pozbyć świadków zbrodni, bądź też wywiozła ich do komór gazowych w Chełmnie nad Nerem czy w Oświęcimiu. Podobnie na okupowanych obszarach ZSSR tzw. Einsatzgruppen zabijały "Żydów, komunistów i umysłowo chorych" — jak o tym np. donosił meldunek "Einsatzgruppe A" z dn. 15-X-1941 do Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy.

Wykwalifikowany personel obsługi zakładów zagłady umysłowo chorych w Niemczech nie pozostał bez zatrudnienia. Niezwykle aktywny Victor Brack z "kancelarii Führera" wraz ze swoim zastępcą, zaginionym po woj-



Zima na Wybrzeżu. Widok na zatokę w Sopocie.

REFLEKTOREM PO ŚWIECIE

Jednemu z Anglików pracujących w naszej fabryce, wpadła w oko nie tyle zabójcza blondynka, co kropla kwasu, którym się oczyszcza części turbin samolotowych. Anglik, (po portugalsku ani be ani me,) poprosił mnie, abym go zawiózł do okulisty.

Kiedyśmy się zjawili w jego przychodnię, siedział już tam jeden pacjent. Minę miał ponurą i spojrzał na nas z widoczną niechęcią.

Minęła już dawno godzina druga, — wedle otwieszczenia przybitego na ścianie oznaczająca początek przyjęć — a doktora ani widu ani słychu.

Zjawił się o wpół do czwartej. Popatrzył na nas i zniknął za bocznymi drzwiami. Kiedy je otworzył doleciał nas mocny zapach "biffu" czosnku i cebuli. Doktor udał się na "almôco". Po dłuższym czasie ukazał się ponownie za innymi drzwiami. Anglik skreślał się z bólu, ponury pacjent sapnął groźnie.

— Eu espero ele já três horas — burknął.

Z poza drzwi słyszeliśmy rozmowę. Doktor telefonował do kogoś — widocznie bardzo dowcipnego, bo śmiał się co chwila beztrudno.

Z wonnego pokoju wyszła potężnych rozmiarów matrona.

— Cafezinho! — zawołała.

Doktor przeszedł przez poczekalnię i udał się ponownie do jadalni, czy też kuchni.

Nie wytrzymałem i powiedziałem za nim:

— A niech go jasna cholera weźmie!

Ze zdziwieniem zauważyłem, że twarz "ponurego" pacjenta rozpogodziła się nagle. Wstał, podszedł do mnie i uściśnął mi mocno rękę.

— Bodaj go wszyscy diabli! wykrzyknął piękną polszczyzną.

Rodak mówiący tak dobrze po polsku, urodził się w Brazylii i jest ogrodnikiem. Nazywa się Carlos Kopicinski, co w przekładzie na język "Reflektora" brzmi: Karol Kopyński.

— Po polsku to ja nie umiem — wyjaśnił — ale psia krew, bodaj to wszyscy diabli to zawsze potrafię.

Bardzo miły... cholera.

— ★ —

Po ukończeniu wyższych studiów w Szkole Zawodowych Złodziei, założonej przez prof. Hansa Bergera, studentki udawały się na odbycie praktyki do pierwszorzędných hoteli europejskich. Miejscem ich popisów był Paryż, Rzym, Barcelona, Nicea, Madryt i Mediolan. Szkoła kształciła wyłącznie urodziwe dziewczęta. Jedną z nich, aresztowaną ostatnio Helena Bilen, w ciągu sezonu "zarobiła" ponad 100,000 funtów szterlingów. Zgodnie z umową, rektor Hans Berger, zadawał się tylko 60 procent zysków swoich adeptów.

— Herr Berger był dla nas bardzo miły, dbał o nasze stroje i wszelkie wygody — o-

nie Blankenburgiem wystali w porozumieniu z Eichmannem w październiku 1941 r. do Polski okupowanej aparaturę eutanazyjną (samochody gazujące) i wykwalifikowany personel. Sprzętu tego użyto do eksterminacji Żydów, m. in. w obozie zagłady w Treblince — pod kierunkiem komisarza kryminalnego Wirtha, zaprawionego przedtem w zbrodniach rzemiosłem we wspomnianym już zakładzie w Branderburgu.

Również Himmler postanowił wykorzystać akcję "T4" do zlikwidowania w obozach koncentracyjnych tzw. "duchowych wraków", to jest tych więźniów, na których psychice miał na zawsze wycisnąć piętno terroru obozowego. Usłuzni Bouhler i Brack polecieli mu komisyjnie rzeczoznawców do spraw eutanazji w obozach lekarzy: dr Heyde, dr Nitsche, dr Mennecke i innych. Selekcja więźniów chorych psychicznie otrzymała kryptonim "14f13", od sygnatury akt w tej sprawie inspektoratu obozów koncentracyjnych (departament D Głównego Urzędu Gospodarki i Administracji SS). Organizacyjnie przygotowali tę akcję — Liebehenschel — późniejszy komendant Oświęcimia, osadzony i stracony w Polsce, oraz dr Lolling — obaj ze wspomnianego departamentu D. Komisja pod przewodnictwem dr Heydego dokonywała selekcji więźniów rzekomo psychicznie chorych. Oględziny ograniczały się do zbadania akt więźnia w jego obecności, przy czym o selekcji decydowały raczej przyczyny aresztowania niż stan zdrowia. Wyselekcjonowanych więźniów wywożono do komór gazowych w innych obozach, albo do najbliższych zakładów eutanazyjnych, jak np. z obozu w Dachau do Bernburga, i tam ich truto gazem. Akcję tę nazwano "akcją Heydego", ponieważ dr Heyde i tu był jej głównym motorem. Pochłonięta ona tysiące ofiar i przekroczyła nawet zamiaty samego Himmlera, który chcąc do ostatka wyeksploatować siłę roboczą więźniów polecił w kwietniu 1943 r. zabijać w obozach tylko więźniów "umysłowo chorych", natomiast innych niezdolnych do pracy (gruźlików, kaleki) zatrudniać pracą nawet w łóżkach.

Zbrodnicze plany eksterminacji, maskowanej eutanazją, zainicjowane przez czołowych dygnitarzy partyjnych III Rzeszy, uzyskały aprobatę czołowych lekarzy specjalistów — neurologów i psychiatrów III Rzeszy, którzy czynnie je realizowali z pomocą rozległego aparatu służby zdrowia i personelu lekarsko-pielęgniarskiego szpitali i zakładów opiekuńczych. Działo się to za wiedzą i zgodą hitlerowskich władz wymiaru sprawiedliwości, wyższych sądów krajowych i prokuratur generalnych. Korupcja intelektualna i moralna ogarnęła tak lekarzy, którzy z tytułu swego zawodu mieli nieść pomoc i ulgę w cierpieniu, jak i prawników, których obowiązkiem było strzec świętości życia ludzkiego. Stali się oni współpracownikami i pomocnikami zbrodni.

Tylko nieliczni z hitlerowskich eutanastów ponieśli karę. Bracka i Brandta skazał Amerykański Trybunał Wojskowy w tzw. procesie lekarzy. Mennecke, Nitsche i inni zostali skazani przez sądy niemieckie. Ale już np. jeden z rzeczoznawców — dr Pfannmüller, od 1948 r. unika procesu z powodu rzekomo złego stanu zdrowia, Bohne zaś i Schumann po prostu zbiegli. W kilku procesach lekarsko-pielęgniarskiego personelu zakładów eutanazyjnych sądy niemieckie szeroko uwzględniły okoliczności łagodzące, rozgrzeszając zbrodniarzy tym, że "działali na rozkaz, bądź całkowicie tłumacząc ich udział w zbrodni "tragicznym konfliktem obowiązków".

Główny organizator i wykonawca eutanazji — dr Alfred Heyde, który w 1947 r. zbiegł w czasie transportu do więzienia i do 1959 r. jako dr Sawade był lekarzem-rzeczoznawcą przy krajowym sądzie socjalnym we Flenzburgu, jakkolwiek jego przeszłość była znana lekarskim i sądowym władzom tego miasta, dopiero teraz miał stanąć przed sądem. Zginął przed rozprawą, żeby nie skompromitować swoich współpracowników z uniwersyteckich katedr NRF. Zbrodnia eutanazji ma ująć sprawcom bezkarnie.

HENRYK MICHALSKI

świadczyła piękna Helena policji niemieckiej, która ją aresztowała. — Ogródnik mi przykro, że naraziłam go na przykrości...

— ☆ —

W okresie ubiegłych świąt, odwiedził mnie najmilszy kolega szkolny. Cudem — rzecz można — odnaleźliśmy się w Brazylii. Słuchałem o jego zupełnie fantastycznych przygodach, z zapartym tchem.

Na szczęście, kończy właśnie swój pamiętnik, z którego wyjątki, miejmy nadzieję — przeczytamy na tych łamach.

Ostatnie wieczory poświęciliśmy wspólnym, pogodnym wspominkom.

W pobliskim miasteczku kupowało się deski. Były tam dwa sklepy.

Jeden należał do p. Fajgenbauma, drugi do p. Rozenkranca. Fajgenbaum był mały, przysadzisty, gestykulował żywo, zadzierając głowę do góry, albowiem natura nie wyposażyła go wzrostem. Rozenkranc, w przeciwieństwie do swojego konkurenta, zbudowany był jak Samson. Opowiadano o nim, że gnę prety żelazne jak zapalki. Przerastał Fajgenbaum o trzy głowy.

Kiedyś, Samson — Rozenkranc, zdradził nam sekret, że deski Fajgenbauma są diabła warte. Gdy poinformowaliśmy o tym tego ostatniego, liliput Fajgenbaum wpadł w furję i pognął do sklepu konkurenta.

Po pewnym czasie zjawił się w hotelu Rozenkranc. Całą lewą stronę twarzy miał usmarowaną smołą.

— Panowie dziedzice, — zawołał — oto co mi zrobił ten łajdak Fajgenbaum!

— Niech pan się umyje — zaproponowaliśmy zgodnie.

— Nie mogę — odrzekł — to jest dowód rzeczowy! — dotknął się policzka.

Przyjaciół mógł, zainteresował się sprawą. — Panie Rozenkranc, jak to możliwe, żeby taki mały Fajgenbaum dał panu radę? — zapytał — Przecie pan wygląda jak Cyklop-Bieńkowski, a Fajgenbaum jak perliczka.

— Panie dziedzicu, — wyjaśnił Samson — ja tak robię, jak mi mój ojciec kazał. On mi powiedział: — Słuchaj, Lejba, jak cię kto uderzy w pysk, to ty czekaj. Może on się pomylił? Jak cię uderzy drugi raz, to ty jeszcze czekaj. Może się on namyślił? Ale jak cię uderzy w pysk trzeci raz, to ty uciekaj. To już napewno jest — łobuz.

Po przeniesieniu się w poznańskie, brak mi było Rozenkranców i Fajgenbaumów. Życie bez nich było jakieś smutniejsze.

— ★ —

"Literaturna Gazieta" ubolewa nad stosunkami jakie zapanowały wśród dziewcząt sowieckich, pragnących się osiedlić w większych miastach ze stolicą na czele.

Na to, żeby otrzymać zezwolenie zamieszkania w wymarzonej miejscowości młoda panienka sowiecka musi tam posiadać mieszkanie, złożone co najmniej z jednego pokoju. Trudno o znalezienie takiego kącika.

Entuzjastki wielkomiejskiego życia znalazły sposób na rozwiązanie trudnego problemu: wychodzą masowo za mąż za mężczyzn w sile wieku, liczących przeciętnie od 75 do 90 lat.

Oto kilka przykładów, które podaje "Literaturna Gazieta":

Piękna, ubrana w obcisły sweter uwydatniający młodzieńcze kształty Tamara Winogradowa, pochodząca z Czelabińska, wchodzi do Urzędu Stanu Cywilnego w Moskwie. Urzędnicy, na widok sowieckiej Jean Mansfield, otaczają ją jak rój pszczołek, które poczuły miód pierwszego gatunku.

— Czym mogę służyć? — zapytuje pierwszy — Dokumencik chrztu?
 — Pogrzyb? — pyta drugi.
 — Chwilowo — ślub... — odpowiada z czarującym uśmiechem Tamaroczka.
 — Gdzie pan młody? — rozglądają się urzędnicy.

— Zaraz go tu przyniosą — informuje Winogradowa.

Na schodach rozlegają się stęknięcia, przekleństw i rżenia. Po chwili czterech robotników, członków Związku Tragarzy Mebli wrzuca do kancelarii urzędu, jak worek z kartoflami lub z węglem pana młodego. Jest nim 89-letni Iwan Josipowicz Samartow.

— Dawajcie ślub! — woła Tamaroczka Winogradowa, a myśli: Niedługo tu przyjdę po świadectwo zgonu. W mieszkaniu pozostaną sama. Nie ma to jak żyć w naszej umiłowanej — Moskwie!

— Takich małżeństw rejestrują nasze urzędy pięćdziesiąt dziennie! — ubolewa "Literaturna Gazieta".

Jednej panience, Elisawecie Buskowej nie powiedziało się tak łatwo. Ale i ona potrafiła pokonać komplikacje.

Jej narzeczony mógł "stanać" na kobiercu ślubnym przed urzędnikiem tylko na czworakach. Przy tej sposobności przygniół sobie brodę i nie mógł ani rusz wstać.

Było tego za wiele nawet przywykiemu do podobnych widoków urzędnikowi. Odmówił dania ślubu motywując to faktem, że nie widzi pana młodego, którego głowa znajduje się pod stołem.

— Czort z tobą! — powiedziała pod adresem nieuprzejmego urzędnika Elisaweta.

Niewiele się namyślając, załadowała narzeczonego do wagonu i udała się z nim do miasteczka Gagra, gdzie bez trudu otrzymała świadectwo zaślubin.

Powróciwszy do Moskwy udała się do wydającego zezwolenia na zamieszkanie w stolicy.

— Jak się miewa obywatel małżonek? — zapytano ją z wyszukaną galanterią.

— Dziękuję, ma się świetnie — odpowiedziała Elisaweta, a wzniosłszy oczy ku górze dodała: — Boże, świeć nad jego duszą!

Okazało się, że w zajeździe w Gagrze, 80-letni pan młody, poczuł w sobie powołanie młodzieńca.

Elisaweta wyrzuciła go za drzwi, a kiedy się namietnie dobijał, wypchnęła go na dwór. Na dworze był mróz 36° poniżej zera. Sierżoż Moskow, nie tylko ochłonął z miłosnych zapałów, ale zamarzył.

"Nasze sądy są bezsilne wobec tych niebywałych praktyk" — ciągnie "Literaturna Gazieta", ale urzędy stanu cywilnego powinny tłumaczyć starym piernikom, że pan na młodą wlokąc ich przy pomocy "pogotowia ratunkowego" do ślubu, nie myśli o ich urodzie i powabie, ale o mieszkaniu, przed które — jak się spodziewa — zajędzie niedługo karawan."

Zauważ, że dla braku miejsca nie mogę podać wszystkich przykładów podanych przez moskiewskie pismo. Czytałem artykuł "Literaturnej Gaziety" mając wrażenie, że mam przed sobą "Punch'a", "Le rire", albo "Szpilki".

— ☆ —

Śmiech — to zdrowie. Nawet kiedy jego odgłos dochodzi do Brazylii z Czelabińska.

— ☆ —

Okazuje się, że o ile młodzi Anglicy są zimnokrwist i nie odznaczają się południowym temperamentem, to na starość potrafią odbijać zaległości.

Mr. Artur Holland, po swoich 81 urodzinach, opuścił przytułek dla starców Mundy House w Essex i poprowadził żwawo do ołtarza 93-letnią przyjaciółkę miss Annil. Kiedy młoda para opuszczała Kościół, zbliżyła się do niej prawdziwa mrs Holland (lat 78).

— Zdrowia, szczęścia i pomyślności — za-

wołała, wymierzając siarczyste policzki nowożeńcom.

Za popełnienie bigamii mr. Artur Holland powędrował do aresztu.

— ☆ —

Mniej pomyślnie skończyła się sprawa seniora Lorenzo Marino, mieszkańca Reggio w Kalabrii. Zdecydował się on sprzedać swoją 23-letnią żonę Franciszkę serdecznemu przyjacielowi Antonowi Raffa.

Cenę ustalono — w przeliczeniu na mocną walutę angielską. Wynosiła 570 funtów szterlingów, które miały być wpłacane ratami.

Po przekonaniu się, że Francesca nie posiada zalet, których się spodziewał Antonio doszedł do przekonania, że dalsze wpłacanie rat mija się z celem. Zasztytował seniora Lorenza podczas przechadzki.

Wyrok sądu w Reggio: 21 lat ciężkiego więzienia.

— ☆ —

Na zakończenie tych romantycznych historyjek, zobaczmy jak się celebrowało wesele w zacofanym afrykańskim kraju.

W Ugandzie, w mieście Kampala, odbyły się zaślubiny 37-letniego prezesa Rady Ministrów, Miliona Obote. Podczas wesela pękło 1500 butelek francuskiego szampana, 60.000 butelek piwa, nie licząc beczek miejscowych napojów.

Po weselu, oblubieńcy t. j. mr. Obote i jego młoda małżonka Miria Kakule odlecieli specjalnym samolotem do Londynu.

Miejmy nadzieję, że Stany Zjednoczone szybko wyrównają wydatki skarbu Ugandy, poniesione zarówno na wesele, jak i na koszt miesiąca poślubnego premiera tego kraju. Jeśli tego nie zrobią to zrobi to Związek Radziecki.

Nie ma to jak żyć w zacofanym afrykańskim kraju!

H. PRZYBOROWSKI

Wspomnienia z Polski. —

Wędrowki na emigracji.

Przygody w Brazylii.

Oto treść:

Zbioru opowiadań

Henryka Przyborowskiego

"RAPORT KARNY"

który ukazuje się nakładem "Londyńskiej Biblioteki Literackiej"

BOLESŁAWA ŚWIDERSKIEGO

jako tom XXXVI.

Książka będzie liczyć około 300 stron druku. Cena w przedpłacie £ 1.6.4.

lub \$ 3.0.0.

Przedpłatę przyjmują w Brazylii:

Red. Seweryn Hartman, — "Przegląd Polski" Caixa Postal 4530 — São Paulo.

Feliks Rokicki, — Rua Rep. do Peru 305, ap. 18 — Rio de Janeiro
 Janusz Orsiuch — Móveis Cimo Caixa Postal 13, Curitiba, Paraná.

Dr. STANISŁAW BUNDYRA

Jedyny adwokat polski w São Paulo
 Członek Związku Adwokatów Brazylii

Załatwia wszelkie sprawy sądowe: cywilne, handlowe i pracownicze, jak: inwentarze, mieszkaniowe, upadłościowe itp.

BIURO: Rua Senador Feljó, 29
 4 p. s. 417

(obok Katedry) tel.: 35-6521

PRZYJMUJE OD GODZ. 14 DO 19



Zabytkowa Studnia Neptuna na Długim Targu w Gdańsku.

PRAWDZIWI SKARB

Ukazujący się pod redakcją ks. Wojciecha Sojki z Erie U.S.A. "SKARB RODZINY", jest — w moim przekonaniu — najpiękniej wydawanym pismem polskim na obczyźnie.

Kredowy papier, okładki kolorowe, z których każdą chciałoby się oprawić w ramki, fotografię, a przede wszystkim bezbłędna, śliczna polszczyzna mogą stanowić niedościgniony wzór dla innych pism.

W numerze 6, tom 46, dodatek "Skarbu" w języku angielskim, poświęcony jest przemówieniu brata ś. p. Prezydenta Stanów Zjednoczonych, — Roberta Kennedy, wygłoszonego na "Konwencji" Polskiego Związku Narodowego w Filadelfii. Podajemy w tłumaczeniu wyjątki z tego przemówienia:

"Polska jest znacznie starszym państwem od Stanów Zjednoczonych, ale losy obu krajów łączą się wielokrotnie.

Polacy byli jednymi z najmocniejszych, przepoconych ideą demokracji, osadników Nowego Świata i żadna historia amerykańskiej rewolucji nie może być kompletna bez imion Kazimierza Pułaskiego i Tadeusza Kościuszki.

Pułaski oddał swe życie walcząc bohaterstwo pod Brandywine i Valley Forge. Kościuszko poświęcił swe życie sprawie wolności tak tutaj jak i w swoim własnym kraju.

Prezydent Tomasz Jefferson, jego osobisty przyjaciel, powiedział o nim:

"Jest on najczystszy synem wolności, jakiego kiedykolwiek znałem.

Tej wolności, która nie jest przywilejem kilku, ale wszystkich ludzi".

Kongres Stanów Zjednoczonych, jako wyraz wdzięczności, przyznał Tadeuszowi Kościuszcze wysoką sumę pieniężną. Z pieniędzy tych nie użył ani grosza dla siebie. Oddał je Jeffersonowi z prośbą, "aby cała moja fortuna została zużyta na wykup z niewoli Murzynów i danie im swobody".

Działo się to pół wieku przed uchwaleniem aktu "Emancypacji"!

Dziś pomnik Kościuszki stoi w Waszyngtonie naprzeciw Białemu Domu.

Jest on symbolem naszej przyjaźni dla Narodu Polskiego".

W dalszej części przemówienia Robert Kennedy przypomniał m. in. kampanię wrześniową, — która wzbudziła podziw Amerykanów dzięki odwadze żołnierza i jego bezgranicznemu poświęceniu. Mówił — ze wzruszeniem o Powstaniu Warszawskim, a dalej:

"Kilka lat temu wdrapałem się na skaliste wzgórze Monte Cassina.

Stanąłem przed pomnikiem i odczytałem słowa które wzruszyły mnie do głębi i które zapamiętam na całe życie.

MY POLSCY ŻOŁNIERZE ZA NASZĄ WOLNOŚĆ I WASZĄ ODDALIŚMY NASZE DUSZE BOGU, NASZE CIAŁA ZIEMI WŁOSKIEJ, A NASZE SERCA — POLSCE.

(hp)

„CYGAŃSKA NOC”

Od kilku tygodni we Frankfurcie n. Menem toczy się proces ludobójców z obozu zagłady w Oświęcimiu. Agencje i prasa poświęcają mu część zainteresowania, a gazety informują o zakończeniu przewodu dowodowego, drukując na sąsiednich kolumnach informacje o tym, że rząd NRF rozpatruje możliwość wysłania korpusu ekspedycyjnego Bundeswehry na Cypr w ramach kontyngentów NATO i że trwają rokowania w sprawie tzw. sił multilateralnych otwierających NRF furtkę do współudziału w dysponowaniu bronią nuklearną.

Dwadzieścia lat temu, transportem z Majdanka przetrząsany zostałem do obozu Oświęcim — Brzezinka i skierowany na tzw. kwartanę do tej części obozu, którą nazywano obozem cygańskim. Może dlatego dzisiaj z osobistym zainteresowaniem śledzę bieg procesu we Frankfurcie, a może i dlatego, że kilkanaście osób mojej rodziny, w tym ojciec, matka i dwie siostry w wieku lat dziesięciu przekroczyły bramy obozu tylko w jedną stronę. Śledzę więc ten proces ze spokojem na jaki pozwala perspektywa lat dwudziestu i widzę, jak toczy się on w majestacie rzymskiego prawa, jak oskarżeni korzystają z dobrodziejstw „habeas corpus”, z przywileju niłczenia, prawa do wykretów i braku pamięci, z łaski kłamstwa i obrony. Widzę jak ogłoni i syci, w czystych koszulach, schludni i ucywilizowani, obywatelscy i ojcowscy dobrodusznymi mieszczanami przyjmują pozę trzech symbolicznych małpek, z których pierwsza zasłania oczy, druga zasłania uszy, a trzecia usta. Tak i oni nic nie widzieli, nic nie słyszeli i nic nie mają do powiedzenia.

Sięgam tedy pamięcią wstecz i z ponurego filmu wspomnień, który dławi mnie po nocach, wyławiam pierwszy fragment: cygańska noc.

— ★ —

Obóz był w połowie obozem cygańskim. Dwadzieścia parę baraków, stojących po jednej stronie drogi przecinającej pole obozowe, zamieszkiwały cygańskie rodziny. Kolorowe, suto faldowane spódnice, barwne chustki, czarne oczy i tłumek smolistych dzieciaków buszujących po obozie w poszukiwaniu dodatkowego kęsa... Egzotyka cygańskiego taboru odbijała od naszej pasiaściej nędzy więziarskiej snującej się w bezpośrednim sąsiedztwie. Cyganie, jak przybysze z odmienną planetę, odcinający się i odcięci od otoczenia w którym żyli i koczowali od wieków i tutaj trzymali się oddzielnie. Już sam fakt, że żyli rodzinami, razem z żonami, dziećmi, całymi klanami rodowymi, podczas gdy reszta obozu podzielona była rygorystycznie na część męską i kobiecą — określał ich inność.

W sąsiedztwie dymiły cztery krematoria — duszący swąd białą tłustą mgłą kładł się na obóz. Nocą cztery kominy jak potworne lich-tarze świeciły wysokimi jezorami płomieni i łuną leżącą na niebie. — Na rampę dzień po dniu przybywały transporty słowackie i węgierskie, holenderskie i francuskie, niemieckie i polskie — niekończąca się kolejka starych i młodych, kobiet i dzieci posuwała się cierpliwie w stronę zagłady czekając na swoją porcję śmierci — a oni, jak większość ludzi, czepiali się nadziei na przetrwanie i złudzenia, że ich słabość stanowi ich siłę, że ich odmiennosc, inność zagwarantuje im życie. Nie wierzyli, że ich miara jest miarą gorszą, gdyż chcieli wierzyć, że jest miarą lepszą. Takie już jest widać prawo nadziei, że tam gdzie brak złudzeń — sama je sobie stwarza.

Doktor Mengele, śniady, szczupły, ciemnooki lekarz obozowy, szczególnymi względami darzył dwoje cygańskich bliźniąt —

siedmio czy ośmioletnich dzieci. Prowadził badania nad dwojaczkami i z każdego transportu wylawiał bliźniacze pary. Lokował je w swojej „królikarni”, w lepszych warunkach i prowadził na nich badania i pomiary antropologiczne. Chodziło ponoć o to, że badania te ustalić mają warunki, w jakich kobieta rodzić może bliźnięta lub trojaczki. Po zwycięskiej wojnie III Rzesza będzie musiała nadrobić biologiczne zaległości. Tak więc sterylizacja „podludzi” i wzmożony przyrost „radludzi” stanowią dwa ogniwa tego samego problemu. Niemiecka nauka i niemieckie kobiety będą musiały sprostać tym zadaniom.

Parka Cyganiątek korzystała z sympatii dr Mengele, który zawsze miał dla nich smakołyk w kieszeni i dobre słowo. Z tego to życzliwego stosunku zrodziła się wśród Cyganów pogłoska, że śniady Mengele jest cygańskiego pochodzenia i mają w nim opiekuna i protektora.

Aż dnia jednego protektor przybył do obozu samochodem i zabrał garnącą się do niego parkę na przejażdżkę, z której nie wróciły już nigdy. Wiadomość o ich losie dotarła do nas nazajutrz. Opiekun zabrał je do krematorium, gdyż wszystkie zewnętrzne pomiary dwojaczek były już zakończone, i zamierzał przeprowadzić porównawcze pomiary organów wewnętrznych. Zastrzelił więc oboje i polecił więźniowi, lekarzowi anatomo-patologowi, który pracował na jego zlecenie, dokonać sekcji porównawczej obu bliźniąt...

Nic nie znamionowało, że jest to początek cygańskiego końca. W kilka dni później, nocą, wjechała do obozu kolumna pustych samochodów ciężarowych. Surowy rozkaz zabronił więźniom wychylać się z baraków pod groźbą natychmiastowego zastrzelenia. Wszystkie reflektory na wieżach skierowano na obóz. Przez szparę w ścianie baraku, w potopie oślepiającego światła oglądałem ostatni akt tragedii, nie wiedząc do ostatniej chwili, czy nie podzielimy jej z Cyganami.

Ludzi ładowano na samochody otoczone gęstym kordonem SS-manów. Krzyki bitych i bijanych, wściekle ujadanie psów, którymi szczerzo ludzi, płacz kobiet i dzieci, wołania i jęki, huk strzałów i szum samochodowych motorów stwarzały tło dźwiękowe tej dantejskiej operacji, którą wciąż widzę po dwudziestu latach w oślepiającym świetle przez szparę, czekając na swoją kolejkę. Pijani mordem, rozjuszeni niedołężnością starców i

dzieci nie dość szybko wskazujących na samochody, siepacze w czarnych mundurach, z pejcami i kijami w rękach, jak potępiency, jak demony zgroszy uwijali się wśród tłumy sparaliżowanego technieniem śmierci. Samochody podjeżdżały i odjeżdżały, nieprzytomna ciżba, kopana, kłaniana kłami psów, ładowała się na wozy i ruszała w ostatnią drogę. Jeszcze w biegu dorzucano im dzieci, by uzupełnić ładunek i na jeden wóz załadować jak najwięcej.

Zwolna krzyki cichły, wsiąkając w noc z szumem oddalających się samochodów. Teraz rozpoczęło się polowanie na pojedynczych ludzi, którzy ukryli się w barakach i w zabudowaniach. Psy i siepacze tropili ludzką zwierzynę i strzały sygnalizowały myśliwski sukces. Z sąsiedniego baraku wyciągnięto kilku więźniów. Mieli załadowane cygańskie trupy na ostatnie samochody. Rachunek musiał się zgadzać.

Ranek wstał bladej, z podkrążonymi bezsennością oczyma. Sąsiednia strona drogi obozowej była pusta i głucha. Zagoniono nas do porządkowania baraków i gromadzenia nędznego cygańskiego dobytku. Wszędzie poniewierały się wielkie i czerwone włochate koce cygańskie i kolorowe derki. Tu i ówdzie pod pryzmami leżały mosiężne naczynia i narzędzia kotlarskie oraz rymarskie, z którymi przybyli do kresu wędrowki. Ostatni tabor cygański w Brzezince przestał istnieć. Została po nim tylko nazwa, której nie rozumieli ci, których los rzucił tutaj później. W ciągu jednej nocy przestało istnieć kilkanaście tysięcy ludzi pochłoniętych przez „noc i mgłę” — jak poetycznie szfrowali hitlerowcy akcję unicestwiania. Ta noc cygańska i ta mgła ciężkim oparem swądu kładła się na obóz, po dzień dzisiejszy tkwi w mojej pamięci.

A oni — starsi panowie w cywilu, zaciąg obywateli, pracownicy i schludni, zapobiegliwi i gospodarni, cywilizowani i europejscy — ci zasiadający przed sądem we Frankfurcie i ci, których nie dosięgła ręka sprawiedliwości — oni już nic nie pamiętają? A czy w nocnym lokalu przy sznapsie lub przy butelce reńskiego, gdy od orkiestry odrywa się skrzypek, by zagrać im do ucha rzeźmy romans cygański i poruszyć liryczną strunę w tkliwej i sentymentalnej duszy — czy wówczas przy ich stoliku nie staje cygański korowód z Brzezinki i czy nie dławi ich zmore wspomnienia, jak oni zdławili tych ludzi gazem w betonowych bunkrach? Czy i tego epizodu nie znają, nie pamiętają i nic o nim powiedzieć nie mogą — proszę Wysokiego Trybunału!

JERZY ROS

ABC - DISTRIBUIDORA DE METAIS S/A.

Distribuidora da Cia. Sid. MANNESMANN.

Av. Industrial, 621 — Tel.: 44-5573 — SANTO ANDRÉ

RURY BEZ SZWÓW (MANNESMANN)

czarne i galwanizowane DIN 2440, 2441, 2448 i Sch. 80

do wody, gazu, kotłów i przemysłowe.



W ŚWIECIE NAUKI — W ŚWIECIE NAUKI —

Ostatnia reduta Bar Kochby

W roku 132 palestyńscy Żydzi zerwali się do walki wyzwoleniczej przeciwko Rzymianom. Wodzem powstania był niejaki Szymon, noszący przydomek Bar Kochby lub Bar Koseby. Ku zdumieniu świata rozgromił on okupacyjne legiony rzymskie, wyzwolił dużą część Palestyny z Jerozolimą włącznie i obwołał się królem nowego Izraela. Lud żydowski oczywiście wielbił swego wodza jak bożyszcze, a słynny rabin Akiba nawet uczynił wiadomym wszem wobec, że Bar Kochba jest zapowiadzanym przebie proroków Mesjaszem narodu.

Ale niepodległość trwała zaledwie trzy lata. Cesarz Hadrian wyprawił do zbuntowanej Palestyny swego najlepszego wodza Juliusza Sewera, który krwawo stłumił powstanie. Bar Kochba bronił się do ostatka w twierdzy Bethar, gdzie przypuszczalnie poległ lub popełnił samobójstwo.

O powstaniu, o jego legendarnym wodzu posiadamy zadziwiająco szczupłe wiadomości: zaledwie garść wzmianek w źródłach talmudycznych i w pismach Ojców Kościoła oraz napisy na monetach powstańców. Gdy przeto gruchnęła wieść, że w dzikich ostępach górskich Palestyny odkryto zabytki archeologiczne, które w sposób nader wstrząsający oświetlają ostatni akt dramatu powstańczego, poruszenie w kręgach naukowych było niemałe.

A zaczęło się wszystko dość osobliwie. Podczas jednej z wycieczek górskich na zachodnim brzegu Morza Martwego garstka turystów żydowskich natknęła się w jaskini na ściepę gniazda wysłane skrawkami zwójów papirusowych z napisami w języku hebrajskim, aramejskim i greckim. "Uniwersytet Hebrajski" w Jerozolimie, zaalarmowany odkryciem, zorganizował natychmiast ekspedycję archeologiczną pod kierunkiem Prof. Yadina, przypuszczano bowiem, że gdzieś w pobliżu tego gniazda powinien być ukryte jakieś zwójce, podobnie jak to było w okolicy Qumran przy ruinach klasztoru sekty eseneńczyków.

Wyprawa nie była łatwa. Zachodni brzeg Morza Martwego — to okolica wyjątkowo dzika, pełna niedostępnych urwisk, rozpadlin, złomów i stromych krzesanic. Na jednej ze ścian skalnych, kilkadziesiąt metrów nad przepaścią, zaobserwowano z helikoptera otwór pieczary. Natychmiast wysłano na zwiady doświadczonych grotołazów. Na niemalże pionową ścianę wdrali się oni za pomocą haków i lin, a w końcu musieli posuwać się na czworakach wzdłuż wąskiego, zawieszono nad otchłanią gzymsu skalnego. Gdy wreszcie wtisnęli się przez otwór do środka, stanęli w dość obszernej pieczarze. Składała się ona z trzech odrębnych komór połączonych ciasnymi korytarzami, przez które można było przedostać się tylko na brzuchu. Panował tam mrok i nieznosny zaduch; nad głowami intruzów krążyły roje spłoszonych nietoperzy; podłogę zalegał gruby pokład ziemi i odchodów zwierzęcych.

Członkowie ekspedycji dostali się do pieczary na drabinie linowej umocowanej przez zwiadowców. Już przy samym wejściu natknęli się na znalezisko, które przysporzyło im o wielkie podniecenie. Była to drobna, miedziana moneta z napisem hebrajskim: "Za wolność Jerozolimy". Pochodziła ona niewątpliwie z krótkiego okresu królowania Bar Kochby, z lat ostatniej rebelii żydowskiej w Palestynie. Skąd wzięła się w niedostępnej pieczarze,

w dzikim bezludziu górskim? Odpowiedź na to pytanie, odpowiedź dość makabryczną, kryła trzecia komora. W mroku stały uszeregowane pod ścianą wiklinowe kosze, związane szczelnie sznurami. Gdy je po kolei otwierano, wysypywały się na ziemię zbutwiałe czaszki i piszczele ludzkie. A więc komora spełniała niejako rolę krypty grobowej dla mieszkańców pieczary, wśród których był zapewne właściciel miedzianego pieniądza.

Rzecz zrozumiała, że wobec tych odkryć należało zorganizować poszukiwania archeologiczne. Grunt kryła jednak gruba warstwa ziemi, piargów i sproszkowanego odchodu nietoperzy, którą trzeba było z dużą starannością przekopać. Była to w ciastocie pieczary praca uciążliwa i czasochłonna. Prof. Yadin rozwiązał ten problem posługując się aparatem do wykrywania min.

Nowa metoda, zastosowana zresztą po raz pierwszy przez archeologów duńskich, okazała się nadzwyczaj przydatna. W krótkich odstępach czasu podniecone okrzyki sygnalizowały coraz to nowe znaleziska. Naprzód wygrzebano z ziemi kosze wypełnione po brzegi naczyniami z miedzi. Były to rzymskie dzbany, puchary i patelnie, zdobione kunsztownie rytowanym ornamentem. Zauważono ciekawy szczegół, że wizerunki bóstw rzymskich, wyryte na uchwytych, były częściowo spłowione, co nasuwa przypuszczenie, że naczynia mieszkańcy pieczary zdobyli na Rzymianach.

Niebawem wydobyto paczkę piętnastu zwójów papirusowych z tekstami w języku hebrajskim, aramejskim i greckim. Okazało się, że jest to autentyczna korespondencja Bar Kochby z okresu, kiedy był władcą Palestyny. Listy zaczynają się formułą: Szymon Bar Kochba, książę nad Izraelem do... i są skierowane głównie do zarządców okręgu En Gedi Jehonatan i Masabali z surowym żądaniem dostarczenia nowego zbioru pszenicy. Widocznie dostawa prowiantów przebiegała opieszale, gdyż w jednym z listów wódz pisze z goryczą: "Siedzicie spokojnie jedząc i pijąc na koszt domu Izraela, natomiast o braci swoich wcale się nie troszczycie". Wśród tych dokumentów znajdują się ponadto kontrakty, z których wynika, że za czasów powstania ziemię znacjonalizowano i wydawano w dzierżawę poszczególnym chłopom izraelskim.

Jeden z aktów prawnych sporządzono jeszcze przed wybuchem powstania. Dowiadujemy się z niego, że Jehonatan, późniejszy zarządca En Gedi, pożytył od setnika "Pierwszej Trackiej Kohorty" piechoty rzymskiej sześćdziesiąt srebrnych denarów, obowiązując się płacić tytułem odsetek 1 procent miesięcznie i po upływie ośmiu miesięcy zwrócić pożyczkę. Niestety, nigdy się nie dowiemy, czy należność została setnikowi zwrócona przed wybuchem powstania.

W jednej z komór wykopano bukłak do wody, wypełniony przedmiotami stanowiącymi własność jakieś kobiety. Między innymi znaleziono tam kolorową wełnę do cerowania, parę sandałów, paciorki, lusterko, łyżki z kości, sól, pieprz i flakoniki. Nieopodal, na pół zagrzebana w ziemi, leżała wiązka papirusowych zwójów stanowiących zbiór dokumentów procesowych i protokołów. Dzięki nim udało się zaurzeć bliższą znajomość z właścicielką owych drobiazgów. Na imię było jej Babata Bat i wyszła drugi raz za mąż za

niejakiego Jeszue, syna Elazara. Wówczas wytoczyła proces opiekunom syna z pierwszego małżeństwa, oskarżając ich o przywłaszczenie spadku. Nie było to z jej strony zwykłe pieniacstwo, gdyż sąd wydał korzystny dla niej werdykt. W zimie 127 roku Babata Bat udała się z mężem do głównej kwatery konnicy rzymskiej, by zgodnie z zarządzeniem przez Rzymian spisem ludności zarejestrować swoje nieruchomości. W roku 130, a więc na dwa lata przed wybuchem powstania, odumarał ją drugi mąż.

Zachodzi oczywiście pytanie, jakim sposobem znalazły się owe dokumenty w odległej, trudno dostępnej pieczarze. Agata Christie, autorka wielu powieści kryminalnych, której mąż jest wybitnym archeologiem, nazwała archeologów "detektywami przeszłości". Na przykładzie naszego wypadku zobaczymy zaraz, jak słuszne bywa to określenie.

Rzeczą jest pewną, że do pieczary schronił się Jehonatan. Będąc zarządcą okręgu En Gedi, a więc wysokim urzędnikiem Bar Kochby mógł słusznie obawiać się, że po upadku powstania czeka go ukrzyżowanie, w najlepszym wypadku niewola. Zabrał więc co najważniejsze dokumenty oraz swoją rodzinę i ukrył się w ostępach górskich, gdzie normalnie nie zapuszczali się legionści rzymscy.

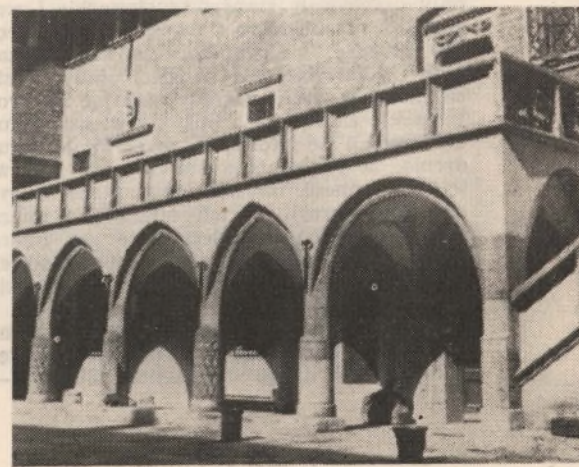
Ale jakim cudem znalazła się tam również Babata Bat? Bo że tam przebywała, świadczy dowodnie jej papiery rodzinne i drobne przedmioty codziennego użytku. Odpowiedź na to pytanie tkwi w jej dokumentach. Okazuje się, że była ona siostrą Jehonatana. Tym samym sprawa stała się jasna. Jako wdowa, pozbawiona męskiej opieki, zamieszkała prawdopodobnie u brata, dzieląc z nim dobre i złe odmiany losu. Z nim też uciekła do pieczary, gdy nowe państwo izraelskie spotkała klęska i ruina.

Jerozolimscy archeolodzy niebawem wykryli, jak tragiczny był koniec nieszczęsnych uchodźców. Bo na szczycie skały, bezpośrednio nad wejściem do pieczary, oraz u wylotu doliny zachowały się resztki rzymskich bunkrów. Wymowa tego faktu jest głęboko przejmująca. Rzymianie musieli wysłedzić miejsce ukrywania się wysokiego dostojnika Bar Kochby. Wysłany oddział legionistów nakłaniał go przypuszczalnie do poddania się, próbował może nawet wziąć szturmem pieczarę, a gdy się to nie udało, przystąpił do oblężenia. Nie jest wykluczone, że dowódcą był ów setnik trackiej kohorty, który Jehonatanowi udzielił kiedyś pożyczki.

Oblężeni wytrwali bohatersko i woleli zginąć niż się poddać. Głód, pragnienie i choroby kładły jednego po drugim trupem. Ci, którzy pozostali przy życiu, chowali zmarłych towarzyszy w koszach w najodleglejszej komorze pieczary. Nie wiemy, czy ktokolwiek wyszedł cało z koszmarnego pułapki, jedno jest jednak pewne: Jehonatan i Babata Bat stracili życie w pieczarze, inaczej zabrałby przecież ze sobą ważne papiery rodzinne. Tak oto był kres grupy powstańców, którzy brali czynny udział w ostatniej próbie wskrzeszenia państwa Dawida i Salomona.

ZENON KOSIDOWSKI

Ratusz poznański



Potomne kopie wirusa

Przyzwyczajaliśmy się uważać wirusa za czynnik chorobotwórczy, który wywołuje szereg ciężkich schorzeń u ludzi, zwierząt, owadów, roślin oraz u drobnoustrojów. Istotnie, czynnik ten jest przyczyną ogromnego spustoszenia w świecie zwierzęcym i roślinnym.

Wirus jest dziwną istotą. Posiada bardzo dużą dynamikę życiową, aczkolwiek jest bardzo małą cząsteczką. Badania nad biologią wirusów dały nam szereg zaskakujących wyników, które zbliżają nas do poznania zagadnień życia. I od tej właśnie strony chciałbym przeanalizować właściwości wirusów, ich strukturę i sposoby rozwoju.

Wszelkie dotychczas definicje wirusa niedostatecznie obrazują jego istotę. Badacz amerykański, Luria, daje np. taką ich definicję: — "wirusy są istotami posiadającymi swoją strukturę i swoje właściwości; są tworami submikroskopowymi; mogą się rozwijać tylko wewnątrz żywej komórki".

Jeśli rozwinie my te trzy punkty definicji — to musimy przede wszystkim zaznaczyć, że każdy gatunek wirusów (a jest ich wiele) ma swój kształt, występując w formie pałeczek, albo wielościannów lub też form kolistych. Co się tyczy wymiarów — większość wirusów waha się w granicach od 12 — 300 milimikronów. *) Cząstka o tak małych wymiarach nie może być widziana w najsilniejszych nawet mikroskopach optycznych. Tylko nieliczne, znacznie większe wirusy mogą być widziane w tym urządzeniu. Do badania wirusów używane są więc mikroskopy elektronowe o dużej zdolności rozdzielczej, dające powiększenie rzędu 10.000 i wyżej.

Najbardziej jednak charakterystyczną cechą wirusów jest ich sposób namnażania, które się odbywa wyłącznie w żywej komórce. Namnażenie wirusa jest niezwykle i zaskakujące, nie znajduje w ogóle odpowiednika w świecie bakterii, których namnażanie na podłożach zawierających substancje odżywcze polega na podziale samej komórki.

Pod względem chemicznym wirus składa się głównie z kwasów nukleinowych i białek (białek). Układ tych substancji w cząstce wirusa tworzy ośrodek, kapsyd i otoczkę. W wielościennych częściach ośrodka znajduje się kwas nukleinowy, zwany genomem. Jest on nośnikiem właściwości genetycznych oraz — zakaźności wirusa. Kwas nukleinowy tworzy długie łańcuchy, układając się w ośrodku wirusa w kształt pierścieni. Część otaczająca wielościenny ośrodek, zwana kapsydem, zbudowana jest z białkowych podjednostek, zwanych kapsomerami. Są to swoiste białka dla każdego gatunku wirusa. W obrazie elektromikroskopowym przedstawiają się one jako wydłużone wielościanny o przekroju pięcio i sześciobocznym, w środku puste. Otoczką nie jest elementem stałym, występuje nie u wszystkich wirusów i nie zawsze. Niekiedy nie wykrywa się obecności jej wcale, a niekiedy obejmuje ona tylko jedną cząstkę wirusa, albo — całą grupę.

Niezwykle interesujący jest proces przenikania wirusa w głąb komórki. Aby wejść do niej, wirus musi połączyć się z chwytnikami tej komórki, tzw. receptorami, które są swoiste dla określonego gatunku wirusa. A swoistość jest tak dalece posunięta, że dotyczy nie tylko gatunku komórek gospodarza, ale i poszczególnych grup komórek w organizmie zakażonym.

Można przytoczyć dla przykładu wirus grupy, który ma specjalne powinowactwo do komórek nabłonka dróg oddechowych. Połączony się z receptorami odpowiedniej komórki, wirus przenika do jej wnętrza. W tym momencie dokonywa się tajemniczy i dotychczas zupełnie nie wyjaśniony proces — rozbić wirusa jako całości, tak — że w za-



W BRAZYLII — W BRAZYLII — W BRAZYLII

OBIEKTYWEM PO BRAZYLII

Jak wiadomo w Brazylii nie ma rozwodów. Istnieje jednak instytucja unieważnienia małżeństwa. Niedawno sąd odwoławczy w Rio de Janeiro rozpatrywał dwie ciekawe sprawy z tego zakresu. W obu wypadkach chodziło o czarne potomstwo w białych rodzinach.

W pierwszym wypadku młodzi chodzili ze sobą dłuższy czas i chłopak nie objawiał jednak szczególnej chęci do ożenku. Dziewczyna należała do egzotycznej sekty umbandy. Poszła do szejfa sekty, potężnego i czarnego jak heban Murzyna i poprosiła o pomoc, żeby gwałt się zdecydował wreszcie i wziął z nią ślub. Murzyn dał jej wywar z ziół, po którym straciła przytomność i dziewictwo. Tak przynajmniej twierdziła. Na rozprawie wyszło jednak na jaw, że żyła z szejfem umbandy dłuższy czas przed poznaniem swego obecnego męża, o czym ten nie wiedział.

Sąd, biorąc te okoliczności pod rozwagę, orzekł unieważnienie małżeństwa.

W drugim wypadku sprawa przedstawiała się odmiennie. Czarne bliźnięta przyszły na świat w pięć miesięcy po ślubie. Oboje małżonkowie należeli do umbandy i mąż wiedział, że żona była od kilku lat kochanką szejfa umbandy. Nic mu to nie przeszkadzało. Dzieci, chociaż czarne, lubił i nawet uznał za swoje w urzędzie stanu cywilnego. Ale jego rodzice byli odmiennego zdania. Dopóty wiercili mu dziurę w brzuchu, aż podał sprawę do sądu. "Murzyńskie dzieci będziesz hodował!" Pomimo wszczęcia sprawy nieszczyśny małżonek nocował często u swojej żony.

Sąd odrzucił wniosek o unieważnienie małżeństwa, będąc zdania, że wystarczy tu separacja.

To mi przypomina stary kawał o kupcu z Nalewek, który z młodą swoją żoną nie mógł się jakoś doczekać potomstwa. Posyłał ją do Wiednia i Berlina do najlepszych specjalistów, bez najmniejszego skutku. Ktoś mu wreszcie

poradził znakomitego profesora w Paryżu. "Ten jej na pewno pomoże". Pojechała z matką, chodziła na zabiegi. W hotelu, w którym mieszkała, zresztą bardzo dobrym i bardzo drogim, pracował windziarz Murzyn.

— Wiesz, mamo, — wyznała pewnego razu — ten boy mi się szalenie podoba.

— No, to pofolguj sobie — powiedziała matka, która była bardzo postępową.

— Dobrze mi radzisz! A co będzie jak się urodzi czarne dziecko?

— Nic się nie martw, Córciu. Pozostaw to mnie.

Po dwumiesięcznej kuracji obie niewiasty wróciły do Warszawy i wkrótce potem młoda kobieta mogła wyznać mężowi słodką tajemnicę. Wciąż jednak była niespokojna.

— Mamo, co to będzie? Ja się boję.

— Nic się nie bój — powiedziała matka. — Ty idź ze swoim mężem na spacer. Na placu Tetralnym jest taki sklep z kawą. Na wystawie siedzi Murzyn z porcelany i on ma w ręku srebrną tacę i kiwa się nad tą tacą. To ty spojrz na tego Murzyna i nagle zawołaj: — Oj, Samomon, ja się zapatrzyłam! Ja czuję, że będę miała czarne dziecko!" I zemdlej.

Córka posłuchała dobrej rady i wszystko się tak stało, jak przewidywała matka. Mąż odwoził ją zemdloną do domu, było dużo harmidru, lekarze, pielęgniarki.

Kiedy nadszedł określony czas kupiec dostał wiadomość, że urodził mu się syn. Uradowany rzucił wszystkie sprawy, wsiadł do drożki i przez cały czas jazdy mówił do drożkarza:

— Ja pana proszę poganiaj pan tego konia!

W dwóch podskokach znalazł się na pierwszym piętrze swojego domu, drżącą ręką zadzwonił. Otworzyła teściowa i nic nie mówiąc zaprowadziła go do sypialni.

C. d. na str. 12

każonych komórkach już nie udaje się go wykryć współczesnymi metodami badania.

Ten okres pozornego zanikania wirusa został nazwany FAZĄ UTAJONEGO ZAKAŻENIA, albo inaczej — fazą eklipsy. Faza ta jest najbardziej charakterystyczną cechą wirusa, odróżniającą go od innych drobnoustrojów.

Zachodzi teraz pytanie, co się odbywa w komórce w okresie eklipsy? Otóż — po rozbić wirusa jako całości uwalnia się kwas nukleinowy oraz białko i — rozpoczyna się proces reprodukcji nowego wirusa. W okresie jego tworzenia się wirusowy kwas nukleinowy staje się dyspozytorem funkcji komórki gospodarza w zakresie syntezy, względnie replikacji (odtwarzania) nowych cząstek kwasu nukleinowego. Proces ten odbywa się zwykle w jądrze komórki w czasie 3-4 godzin, a po nim następuje proces syntezy wirusowego swoistego białka. Proces niezmiernie interesujący, bo kwas nukleinowy — dzięki niejako zaszyfrowanej informacji — ustawia kwasy aminowe (składniki białka) w ten sposób, aby powstało swoiste białko wirusowe. Po kolejnym utworzeniu się cząstek kwasu nukleinowego i cząstek białka następuje ich połączenie i oto nowa pełnowartościowa cząstka wirusa wylania się z komórki żywiciela, która została zniszczona.

W ostatnim pięcioleciu izolowano z wiru-

sów zwierzęcych, a także i z roślinnych kwasów nukleinowych, które miały właściwości reprodukcyjne i zakaźne: — stwierdzono, że izolowane kwasy nukleinowe były zdolne do inicjowania pełnowartościowego wirusa w zakażonej komórce, jak też do wywołania typowego zakażenia u zwierząt i roślin. Potwierdzenie tych wykrytych zjawisk uzyskaliśmy w badaniach przeprowadzonych w Zakładzie Wirusologii Państw. Zakładu Higieny, które wykazały, że kwas nukleinowy izolowany z wirusa kleszczowego zapalenia mózgu i wirusów coxsackie wywołał reprodukcję pełnowartościowego wirusa i chorobę u myszy.

Wyniki tych badań pozwalają wyciągnąć wnioski, że kwasy nukleinowe są nośnikami cech genetycznych, a także i siły vitalnej. Obecnie już jest poznany skład chemiczny i budowa kwasów nukleinowych. Dwaj badacze amerykańscy Severo Ochoa i Artur Kornberg podjęli próby syntezy kwasów nukleinowych, co zostało w pewnych warunkach uwieńczone powodzeniem. Otrzymali oni za swoje prace Nagrodę Nobla.

Rozszyfrowanie procesu namnażania się wirusów zbliżyło nas do wyjaśnienia problemu, w jaki sposób żywe ustroje tworzą swe strukturalne kopie i przekazują cechy dziedziczne następnemu pokoleniu.

Prof. Dr. FELIKS PRZESMYCKI

GARIMPEIRO QUELUZ

(D. c. z nr. 38)

4

Rzecz działa się w r. 1964, w miesiącu lipcu, co piszącemu te słowa utkwilo dobrze w pamięci, ponieważ należał do widzów owego wydarzenia, zajęty gromadzeniem kryształów dla Amerykanów.

Spotkanie ziomka, w Goiás równało się w owe lata skrzyżowaniu rejsów dwóch tram-pów, żeglujących po nieuczyszczonych odłogach morza. Popełniłby omyłkę kto by sądził, że naszych tam nie było. Byli, owszem, i to od dawna, lecz jeden mało wiedział o drugim, zawieruszeni w pojedynkę na obszarze nie mniejszym, niż Santa Catarina, Parana i Polska razem wzięte.

Wędrowni emigracyjni zaskakują czasem wręcz nieprawdopodobnymi wydarzeniami. Człowiek, wylądowawszy na nowej ziemi, toczy się tu niby kamień po zboczku górskim dopóki nie znajdzie przygodnej wnęki. Gdzie zatrzymał się pierwszy wychodźca z nad Wisły, który przybył do Brazylii na stałe? Okazuje się, że podał się za sondę garimpejrową, aczkolwiek garimpejrem nie był. Cały miesiąc trząsał się na grzbiecie muła od Rio de Janeiro aż po górzystą krawędź nieckii Amazonii, zwaną w tych stronach Pirenejami. Dołączył do pierwszych rolników i hodowców bydła, gospodarujących w sertonie gojańskim pod bokiem hałd odkrywkowych.

Nie trudno się domyśleć, że mowa tu o wpół legendarnym napoleończyku, Antonim Czerwińskim, którego dola żołnierska cisnęła poprzez Iberię do Brazylii, a tutaj otrzymał duży szmat ziemi rządowej t. zw. "sesmarie", położony w pobliżu miasteczka Corumbá de Goiás, gdzie zegar na starej wieży wybija każdą godzinę podwójnie: za pierwszym razem powoli i dostojnie, jakby z westchnieniem po czasach, które nie wrócą, a w parę minut później — krótko i pospiesznie zapewne, aby przepłoszyć nietoperze z pustych strychów.

Posiadłość dawnego legionisty jest obecnie znana jako Fazenda Polonia. Wieść o niej ukazała się tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej na łamach "Ludu" w Kurytybie. Nieco później odwiedził te strony lekarz, Luty Kossobudzki. Przejrzał przy tej spo-

(Dok. ze str. 11)

— Tylko ty się nie przestrasz, Salomon, — powiedziała odsuwając zasłonę na kołysce. — On jest trochę czarny.

Kupiec spojrział i krzyknął.

— Ja ci mówiłam — westchnęła położnica, — ja ci mówiłam, że zapatrzyłam się na tego Murzyna na wystawie.

— Że on jest czarny to ja rozumiem — powiedział Salomon. — Ale gdzie jest ta srebrna taca?

— ☆ —

Policjanci z Palacu Policji w São Paulo trzymają jako maskotkę psa o nieokreślonej rasie i drapieżnych instynktach. Kundel darzy przyjaźnią wszystkie osoby w mundurach, ale strasznie nie lubi cywilów. Ofiarą jego padł niedawno urzędnik Sekretariatu Bezpieczeństwa Publicznego, Domingos de Melo Pires. Pies wczepił mu się w nogę, gdy wychodził z garażu Sekretariatu.

— ☆ —

Skoro już mowa o zwierzętach to warto nadmienić, że prefekt São Paulo, Prestes Maia, zamierza w jakimś punkcie miasta wystawić pomnik muła. Zdaniem prefekta miasto zawdzięcza dużo temu cierpliwemu zwierzęciu, zwłaszcza w okresie przed mechanizacją. Jeszcze obecnie muły spełniają wzorowo swe obowiązki w Zakładzie Oczyszczania Miasta.

REPORTER

sołności dokumenty rodzinne Czerwińskich, którzy nie mówili już po polsku, ale pamiętali jeszcze herb swego przodka: Dołęga, może dlatego, że ustom romańskim łatwiej wymówić: "Dolenga", niż "Zerevisqui".

Od przybycia starego legionisty minęło bez mała półtora wieku. Gojańscy Dolengowie rozrosli się i rozprzestrzenili wzdłuż stoków potrójnego stożka Picoas Pireneos. Ślady tej amazońskiej rodziny prowadzą do miasteczka São José (Niquelandia) nad górnym Tocantins (Maranhão), w słynnej niegdyś "grupiarze" kościołów tak bogatej, że niewolnicy mieli tu własną obszerną świątynię.

Po starożytach świetnościach dochowała się do lat 1940-tych zaledwie garść obiektów. Dokoła centralnego placu, służącego jako paśnik dla bydła, wznosiły się kłupy, nadpróchniałe domostwa: parafii, poczty, wendy, apteki i rady miejskiej, a nad wszystkimi królowała bryła piętrowego wzniesienia, przypominającego przemoc kolonialną według wzoru zastosowanego w budownictwie starej stolicy Goiás i niewiele nowszego Pirenopolis. Wyloty krętych uliczek prowadziły prosto w burzany żyłastego zielska "guaixuma". Na pobliskiej rzeczce sterczały przesła drewnianego półmościa i będą tam tkwiły jeszcze długie lata na pamiątkę po dawnym moście, zniszonym przez powódź, a zarazem jako niepodrobiona metryka dla nazw: Meia Ponte, powtarzających się często w tamtejszym krajobrazie.

Od Anapolis, końcowej stacji kolejowej, trzeba się tłuc w porze deszczowej dziesięć dni samochodem ciężarowym, a stamtąd do kopalni kryształu jeszcze piętnaście mil na siodło, więc kłóży przypuszczał, że z mchów i porostów gojańskiego Józefowa wyrosną polskie widma. A jednak...

Opowiadano mi tu o którymś z dawniejszych okolicznych Dolengów, jak z okazji chrztu pierworodnego syna posłużył się ceremoniałem dziedziców fazend i garimp: przed strojnym orszakiem kum i kumów kroczył Murzyn z sakwą i kijem, sadząc co kilka kroków złote "pepity", jak ziarna kukurydzy. Nie wiem ile się mieściło prawdy w tej anegdocie. Miejscowy rejent pokazał mi akt kupna-sprzedaży, już trochę pożółkłych, gdzie nazwisko Dolenga figurowało obok kobiecego imienia.

Obok Cabotowego Casimiresa, obok Krzysztofa Arciszewskiego i nieznanego z imienia założyciela guarańskiego San Stanisława w Paragwaju — Antoni Czerwiński należy do zjawisk odosobnionych — nie utorował ścieżki dla rodaków. Następni przybysze, poczynając od powstańców r. 1831, zatrzymali się w portach nad Atlantyką.

Kiedy po r. 1869 zaczęła bić w Brazylię fala stutysiecznego napływu osadników potop ten wchłonął niemal w zupełności lasy piniorowe wyżynnego południa nęcące nadbałtyckiego rolnika łagodnością klimatu i zalecanymi gleby rodzącej zboże.

O stan Goiás, podzielony na mile kwadratowe wielkiej własności, nie prowadzący kolonizacji, a na domiar odcięty od rzek emigracyjnych dwoma obszernymi zastawami stanów S. Paulo i Minas Gerais, objęły się tylko pojedyncze odpryski wychodźstwa polskiego. Pierwsi byli tu miernicy, na czele których kroczył Władysław Federowicz, komisarz ziemski z Luzanii (Santa Luzia de Marmelada), a zarazem autor pierwszej polskiej książki o sertonach gojańskich: "Z biegiem rzeki Tocantins", wydanej przez "Lud" w r. 1925. W drodze służbowej zaważdzi czasem o Goiás ten i ów z pracowników administracji federalnej, jak: Tadeusz Grembecki, kasjer banku państwowego w Goianii, późniejszy dyrektor tego banku w paulistańskiej

Sorocabie. Wspomniany już lekarz chirurg dr. Luty Kossobudzki, syn Szymona, profesora uniwersytetu parańskiego, osiadł ostatnio w Goiás na stałe, ciesząc się tam dużym powodzeniem.

Gdy w r. 1963 odbywał się w Kurytybie ogólnobrazylijski zjazd prefektów wśród przedstawicieli gojańskich znaleźli się dwaj prefekci pochodzenia polskiego: Czerwiński i Kossobudzki.

Poloniny i puszcze centralnego wyżu, uważanego słusznie za serce Brazylii, pociągnęły mnie do siebie w niedługi czas po zamknięciu "Gazety Polskiej", ponieważ zabieg o przyjęcie do Wojska Polskiego w Anglii spełżył na niczym. Nie zamierzałem liczyć krajanów, rozsiadanych po stepach i kosodrzewinach "cerrad", brakło możliwości po temu. Po latach spędzonych w gorejącej Mekce odetchnął człiek powietrzem pełnym przychylności. Gojańczykowi, wolnemu jak ptak, patrzącemu w świat oczami młodzieńca, imponowała postawa dalekiej, niemalże baśniowej Polski, wiodącej bój na śmierć i życie. Podobnie ważył na szali bezimienny, zawieruszony w tych stronach emigrant.

Zdarzało się, że na widnokręgu mignęła sylwetka rodaka. Przeszedł tedy twój "patriot", przeszedł, ale już go nie ma. Pocięsz się w osamotnieniu: nieznajomy pozostawił po sobie opinię, którą w dalekim południowym Rio Gr. do Sul, oznaczając szczyrowo literami TPBO tj. "Todos Polacos Bons Operários" (wszyscy Polacy są dobrymi robotnikami). Dla nas zaś skróć ten znaczny tytuł co: "Towarzystwo Polskie Białego Orła".

(D.c.n.)

Historia o czarnym pasterzu

Był raz sobie w dawnych czasach, w Rio Grande do Sul, pewien bardzo okrutny ziemianin, który znęcał się okropnie nad swymi czarnymi niewolnikami. Zdarzyło się, że ów ziemianin kupił piękne stado jałówek i polecił czternastoletniemu Murzynkowi, żeby pasł to stado. Było bardzo zimno, a Murzynek chodził prawie nago. Pasł bydło, a wieczorem zgnał je do zagrody, gdzie spał też sam.

Nad ranem przybył ziemianin, policzył bydło i stwierdził, że jedna z jałówek zaginęła. Nie myśląc wiele poblił okrutnie Murzynka batem, z którym się nigdy nie rozstawał. Murzynek mocno krwawił musiał jednak wykonać rozkaz pana, który polecił wyruszyć bez zwłoki na poszukiwanie jałówki. Wsiadł więc na konia i pojechał jak mógł najszybciej. W niedługim czasie odnalazł zaginione zwierzę i schwytał na lasso. Jałówka urwała się jednak z postronka i uciekła. Murzynek szukał jej jeszcze rozpaczliwie, ale wkrótce zapadła noc i uniemożliwiła dalsze poszukiwania. Wrócił zatem na fazendę, a pan, gdy się dowiedział co się stało, kazał go bezlitośnie oćwiczyć. Następnie, polecił rozgrzebać wielkie mrowisko i wrzucić tam skatowanego i krwawiącego Murzynka na żer żarłoczych mrowek.

Następnego dnia, o świcie, fazender poszedł zobaczyć co się dzieje z Murzynkiem w tej myśli, żeby go kazał raz jeszcze oćwiczyć. Ale, gdy przybył w pobliże mrowiska spostrzegł, że unosi się z niego obłok, a w tym obłoku sunie do nieba Murzynek.

I odtąd chłopci z Rio Grande do Sul widzą w czarnym pasterzu świętego i gdy zgubią jakąś rzecz zapalają świece na jego intencję, prosząc by im dopomógł w odnalezieniu zguby.

(J. M.)



HENRYK PRZYBOROWSKI

ZOŚKA

(Dok. z nr. 39)

— Enchantée madame, — Zośka wdzięcznym ruchem podała cioci rękę.

Ludek wziął ją teraz pod swoją opiekę. Obszedł cały salon, przedstawiając wszystkim gościom.

— Enchantée monsieur, enchantée, madame, enchantée, mademoiselle, — słyszałem jej głos z oddali.

Wypowiadała słowa bez błędu, pomimo moich poprzednich uwag, że wyuczenie jej "how do you do" — było by znacznie bezpieczniejsze.

— Nie wiedziałam, że istnieje jakaś Zofia Goez — Okocimska — zwróciła się do mnie ciocia Kocia. — Goeze nie są hrabiami tylko baronami.

Ciocia ro ciężkiej grypie nie dosłyszała na lewe ucho.

— Kochana ciociu, ona się nazywa Wolska — Chocimska, pochodzi z poznańskiego, a jej rodzice mają zamek pod Czarnkowem nad Notecią i stadninę anglo-arabów — wyjaśniłem.

— Fiu, fiu! — zainteresowała się ciocia.

— Ludek jej się bardzo podoba... — szepnąłem cioci do prawego ucha.

Pan Hugo Fryman uderzył w klawisze.

Rozpoczęły się tańce. Zbliżył się do mnie Ludek.

— Wszystko idzie doskonale, — stwierdził z satysfakcją — żebyś tylko nie odważył się wyjeżdżać ze swoimi dowiecipami. Jak się roześmiesz — kłapa. Kandelabry pogasną, a znakomite kruche ciastka cioci zmieć na podłogę.

Istotnie. Śmiech Zośki mógł zatrzymać ruch kołowy na rogu Marszałkowskiej i alei Jerozolimskich.

Poszukałem jej wzrokiem. Tańczyła — jak marzenie — z naszym dalekim krewnym Kubusiem.

Kubus był to szczupły, wysoki młodzieniec o jasnej i zazwyczaj rozwichrzonej czuprynie. Jedynak, zazdrośnie pilnowany przez matkę, gospodarował od niedawna na własnym łolwarku. Chłopak był bardzo miły, delikatny i nieśmiały. Jako doskonała "partia" cieszył się specjalnymi względami cioci Koci.

Bal odbywał się zgodnie z tradycją. Po którymś walcu nastąpiła przerwa, a na pianinie przed panem Frymanem służący postawił tacę z zakąskami i kieliszkiem wina.

Zośka, otoczona trzema kuzynkami — tymi ładniejszymi i wesółymi, — udała się do garderoby damskiej, którą stanowiła sypialnia cioci z przylegającą do niej łazienką.

Wyjście Zośki mocno poruszyło Ludka.

— Teraz może się sypnąć, — powiedział — sama z tymi lilijkami!

Po pewnym czasie ukazała się Zośka. Miała wypieki na twarzy.

— O rany! Co te wasze niewiniątka opowiadają — wyszeptała — Nigdzie takich świnstw nie słyszałam...

Z niemiłym rozczarowaniem dowiedziałem się wtedy, że Kraków z przyległościami może czegoś nauczyć Warszawę.

Zazwyczaj po baliku u cioci Koci jechaliśmy na kilka dni do Zakopanego. Tak się też stało w owym roku.

Pociąg do Zakopanego odchodził wieczorem i następnego dnia wypoczęci i wyspani poszliśmy na spacer.

— Ile tu kościołów! — dziwiła się Zośka.

Na rynku, kiedy stado gołębi poderwało się z dachu Su-kiennic, wykrzyknęła radośnie:

— Tak jak u nas, na Starym Mieście!...

W hotelu, oczekiwał nas niespodziewany gość: był nim Kubus.

Wyglądał bardzo podenerwowany.

— Chciałem prosić szanownego kuzyna o chwilę rozmowy.

— Proszę bardzo. Ludek ujął go pod ramię.

Zośka, uśmiechnęła się zalotnie do Kubusia i poszła na górę do swojego pokoju.

Weszliśmy do sali restauracyjnej i usiedli przy stoliku.

— Może kuzyn mówić śmiało przy nim — Ludek wskazał na mnie — my nie mamy żadnych tajemnic.

Kubus poczerwieniał, aż po białka oczów. Ręce mu drżały.

— Pragnę zapytać, — wybelkotał — czy szanowny kuzyn ma jakieś poważniejsze zamiary w stosunku do hrabianki Wolskiej-Chocimskiej.

Zdawało mi się, że się dusi.

— Nie mam żadnych zamiarów — Ludek poklepał go przyjacielsko po plecach — Jedziemy teraz na narty do Zakopanego, a potem rozjeżdżamy się do domów.

Ta odpowiedź była ostatnią "kwestią" farsy. Koniec końców zawsze ktoś musi pałać głupstwo. Nie ma na to rady.

— Czy mogę towarzyszyć kuzynom do Zakopanego? — zapytał ledwie dosłyszalnie Kubus.

— Z największą przyjemnością — odpowiedziałem.

I ja musiałem się przyczynić w jakiś sposób do katastrofy.

Nie potrzebuję się długo trudzić opisywaniem stanu Kubusia: chłopak, uwiązany do spódnicy matki, przebywający wśród brązów, fioletów i wypłowiałego karmazynu, nagle zobaczył promień z innej planety. Bo Warszawa — drodzy państwo — nawet ze swoimi Zoškami, była — planetą. Zakochał się bez pamięci.

Podczas pierwszej lekcji jazdy na nartach, — działo się to na Kozłcu — Zośka fatalnie skrzyła sobie nogę w kostce. Musieliśmy ją nieść do hotelu, który na szczęście znajdował się niedaleko — na ulicy Chałubińskiego.

Pobyt nasz w Zakopanem, nieoczekiwanie się przedłużał.

Kubus oszalał. Sprowadzał doktora za doktorem, biegał do aptek, pilnował punktualności posiłków, w nocy podkładał się pod drzwi pokoju Zośki i nadśledziwał, czy śpi spokojnie.

Ludek musiał wyjechać wcześniej, matka Kubusia wysłała telegram za telegramem. Sam odwiozłem Zoškę do Warszawy.

Znajomy chirurg stwierdził złośliwe zapalenie kostki. Zośka utykała, o wznowieniu kariery tancerki nie było mowy.

Zacny nasz kolega Janek — ten z ulicy Chocimskiej — zgodził się jej ofiarować lepszą pracę w swojej fabryce.

Minęło kilka miesięcy, nadeszła wiosna.

Przviechałem do Warszawy, wyklócać się w Min. Skarbu o podatki i opłaty stemplowe w imieniu Wielkopolskiego Związku Właścicieli Gospodarstw Wzorowych. Zamieszkałem w cichym hotelu Brulowskim, którego okna wychodziły na ogród Saski.

W dniu przyjazdu, wezwano mnie do telefonu. Mówił Ludek.



Opatów zostało całkowicie odbudowane ze zniszczeń wojennych. Na zdjęciu — zabytkowe kamieniczki nad Odrą.

— Jeśli możesz, przyjedź zaraz na Chocimską — powiedział.

Pojechałem natychmiast. W ciemnym od dymu tytoniowego pokoju chodził nerwowo od ściany do ściany, nie wypuszczając z ust papierosa. Na mój widok zatrzymał się.

— Kubuś jest w Warszawie — wyrzekł. — Wyobraź sobie wariat objechał całe polskie, był w Czarnkowie, zajechał do ciebie, a dowiedziawszy się, że wyjechałeś przybył tutaj. Rozmawiałem z nim dziś rano. Szuka Zośki. Powiedział że gotów jest popłynąć za ocean.

— Dlaczego mu nie powiedziałaś całej prawdy — zapytałem.

— Tyś go nie widział. On w nic nie uwierzy. Prawdę może mu powiedzieć tylko sama Zośka. Dziś o piątej spotykamy się wszyscy u Dakowskiego na Bagateli.

Siedzieliśmy z Ludkiem i Zośką w ogródku, kiedy wszedł Kubuś.

Spojrzawszy na jego wymizerowaną twarz zrozumiałem, że Ludek miał rację. Oczy, pełne trudnej do opisanego tkliwości, wlepione miał w Zośkę. Zbliżył się, nie przywitał się z nami, ujął jej rękę i zaczął gładzić delikatnie.

— Niech pan siada, panie Kubuś — podsunęła mu krzeselko.

Zgodnie z postanowieniem, ja miałem rozpocząć rozmowę.

Spojrzałem na Kubusia i stchórzyłem. Siedzieliśmy długo w milczeniu.

Widząc nasze zakłopotanie, pierwsza odezwała się Zośka. — Panie Kubuś, — powiedziała cicho — ja nie jestem żadna hrabianka.

Przerwała i zapatrzyła się gdzieś w przestrzeń.

— Mój ojciec — ciągnęła jakby do siebie — był tramwajarzem. Dotknął drutu w warsztatach i go zabiło. Matki to ja nie pamiętam.

Położyła rękę na jego dłoni.

— Ja, panie Kubuś, jestem — jak się to w Warszawie powiada — dziewczynka...

— Przecież ja o tym wiem, — wyszeptał Kubuś.

— Pan tego nie rozumie — zaczęła mówić szybciej, — ja jestem, ja jestem, — zająknęła się — ... "letka". Ten kostium co miałam w Zakopanem, to kupił mi pan Ludek. Ten pierścionek — podsunęła mu rękę przed oczy — dostałam od młodego robotnika z fabryki.

Krew zdawała się odpływać z twarzy Kubusia. Siedział jak przymurowany do krzesła. Poczulem drżenie stołu, na którym się oparł. Po chwili, — która wydawała mi się wiekiem — wyjął chustkę, otarł pot z czoła i powstał. Szedł powoli ku bramie ogródka. Stał na ulicy i rozglądał się w obie strony. Nie odwracając ku nam głowy pobrał w kierunku Łazienek.

Zośka energicznym ruchem otworzyła torebkę, wyjęła z niej lusterko i przeciągnęła pomadką po wargach.

— Chodźmy na wódkę — powiedziała.

Potrzebowałibyśmy jej wszyscy troje.

Epilog?

Kostka nadwyręzona na Kozinci uratowała Zośkę.

Ten młody robotnik z fabryki... Pomimo, że mu wszystko wznęła... Proszę czytelników, aby sami sobie dośpiewali ostatnią strofę tej karnawałowej piosenki.

Aczkolwiek jest mi bardzo daleko do naszego współczesnego Conrada — Jerzego Peterkiewicza, to jednak pozwolę sobie dodać na zakończenie:

"And so, they lived happily, ever after..."



Nowy film Jana Rybkowskiego "Naprawdę wczoraj". Na zdjęciu Beata Tyszkiewicz i Andrzej Łapicki.

MÓJ ANGIELSKI KREWNY

MIRA CARLA SŁAWIŃSKA

I

Grzebanie się w starych dokumentach i szpargałach rodzinnych, wyluskiwanie krewnych czy powinowatych bawi i podnieca amatorów tej rozrywki niczym gra hazardowa. W Nowym Jorku istnieje na wielką skalę rozbudowana organizacja, nie tyle biuro poszukiwań osób zaginionych, co nawiązywań kontaktów z nieznaną klientowi parentelą, przy czym zainteresowanemu z reguły nie przyświeca zimna speculacja a jak najczystszy pietyzm dla tak zwanego pojęcia spójni rodzinnej.

Do takich oryginałów — szperaczy należy i ja. To dziwaczne miłośnictwo zrodziło się we mnie prawdopodobnie jeszcze w odległych czasach szkolnych w bramie gimnazjum lub na pobliskim przystanku tramwajowym, kiedy z melancholijną zazdrością przyglądałam się czułym uściskom przywitania koleżanek z ich babciami, ciotkami, starszymi kuzynkami, zabierającymi swe pupilki na obiady, przechadzkę, zakupy.

Po mnie przychodziła czasem "młodsza", jak się wtedy wytwornie mówiło, i to jedynie w ulewę z wielkim parasolem albo dla odmiany z ciepłym włóczkowym szalem, gdy ze szkoły telefonowano do domu, że mnie znowu uszy rozboleły. Normalnie — nie zjawiał się pies z kulawą nogą. A to z tej prostej przyczyny, że w owym wiosennym okresie mojego życia byłam jeszcze obcą, cudzą, "zagraniczną". Rodzice moi mieli już wprawdzie swój niewielki krąg znajomych, przeważnie bezdzielną, natomiast żadnego rodzinnego zaczepu choćby o najdalszych czy "przyfastrygowanych" krewnych. Ci mieszkali daleko, rozsiani po świecie, jako że rodziny, tak z ojca, jak i z matki strony, tworzyły istne filie Ligi Narodów; ligi — w czasie pokoju, ma się rozumieć, gdyż wobec jakichkolwiek konfliktów politycznych nasza spójnia rodzinna stawała się równie bezradna i jałowa jak jej sławetna centrala genewska.

Wielu z moich krewnych i powinowatych nigdy nie oglądałam w oryginale, tylko na zdjęciach, z niektórymi widywałam się w przełocie przez jakieś miasto — postój, dzielący etapy podróży po Europie, z innymi spędzałam miesiące wakacji letnich. Natomiast niemal — że ze wszystkimi łączyła mnie dość ożywiona korespondencja. Nie mogłam więc uskarżać się na posuchę pocztową. Z moich pisemnych kontaktów urosła z czasem bogata i ciekawa literatura ilustrowana barwnymi widokówkami, bowiem w zamian za pałac Łazienkowski, kolumnę Zygmunta, krakowski Barbakan, Morskie Oko czy port w Gdyni — otrzymywałam Tum Mediolański, chylącą się wieżę Pizańską, Bramę Brandenburską, żelaznych apostołów z praskiej wieży zegarowej, stalaktyty z Postumii, utrwalone migawki z Prateru, znad Adriatyku, a nawet... z nad Nilu oraz chilijskiej rzeki Bió-Biό. Kiedyś z jednego z listów wypadł czcigodny Big Ben, jako, że — podobno — mieliśmy krewnych i w Anglii.

Ale blisko, realnie, na codzień nie było nikogo, związanego ze mną tą samą krwią. Rodzice, mała siostrzyczka, stary dziadzio, jako krewni nie liczyli się. Toteż jeżdżąc co dzień do szkoły i z powrotem — od kościoła Kapucynów przy Miodowej aż po plac Unii Lubelskiej — długą trasą "trójki", marzyłam o chwili, w której wolno by mi było samodzielnie wyrzucić w świat, ażeby odbić sobie w dwójnasób ów gorzki brak parenteli na terenie.

Marzenia moje częściowo się ziściły. Nadszedł dzień, w którym już wolna i niezależna mogłam pozwolić sobie na dawno upragnioną wycieczkę rodzinnoznawczą. Niestety wielu z tych, których chciałam poznać osobiście w międzyczasie pomarło, wielu brzydko się postarzało i zatraciło podobieństwo do osób uśmiechających się do mnie z pożółkłych fotografii, paru wywedrowało za ocean wezwanych przez osiadłych tam kuzynów.

Ale dojrzało pokolenie młodszych i z tymi od razu odnajdowałam wspólny język i upodobania. I otworzył się przede mną wielki, wspaniały świat o nowych horyzontach, nowych powiewach, ale jakże bliski, zacieśniony nieznanymi dotąd więzami krwi, rodzinnego podobieństwa, jeśli nie zawsze z rysów, to z uśmiechu, spojrzenia, czy pewnych spontanicznych odruchów.

Trudności w porozumieniu się nie istniały. Ni językowo, ni obyczajowo. Władałam z konieczności mniej lub więcej poprawnie kilkoma językami, z łatwością przyswajałam sobie miejscowy dialekt, odmienne rytuały wyznaniowe, niepisane kodeksy towarzyskie i "rule of the house" moich krewnych.

Pamiętam, ot, dla przykładu, której babci czy cioci powiedziałam na przywitanie "Kuess die Hand" i — nie pocałować, której nie mówić i — pocałować; przed którym z wujaszków pięgnie dygnąć i zaczekać aż on wyciągnie rękę ku mnie, przed którym niekoniecznie dygać, natomiast zdecydowanie zaofiarować "shake-hand", a niekiedy — soczystego buziaka.

Podpatrzyłam u których krewnych nie krajało się nożem kartofli, u których makaronu, gdzie konsumowało się szparagi przy pomocy ręki, przez tibiulkę a gdzie broń Panie Boże, nie tak.

Nie zapomniałam u którego z pociotków starej gwardii tej, co

umiera, a nie poddaje się! Zrolkować po obiedzie wielką śnieżno-białą serwetę ze lnu — wyhaftowanym herbem i z namaszczeniem wsunąć do srebrnej obreczy również z herbem już dobrze wytartym — przedmiotem kpin młodszych krewnych, używających demokratyczne monogramy. Była i taka włoska ciocia, u której zostawiało się serwetkę w stanie niedbalym na znak, że gościna przypadła do gustu i, że pragnie się do niej jeszcze powrócić.

Pomimo tych drobnych, bezsensownych utrudnień życia, każdy mój wypadek za granicę był wydarzeniem wielkiej wagi, tak dla mnie, jak i dla moich krewnych. Przyjmowali mnie z otwartymi ramionami i z tysiącem serdecznych ceregieli, co napawało mnie dumą i wzruszeniem. Wydałam się sobie wolnym, szczęśliwym ptakiem, fruującym z gałęzi na gałąź prastarego konaru, kurierem dyplomatycznym w sprawach uczuć rodzinnych wielkiego klanu, nie mniej zręcznym komiwojażerem, wożącym po świecie próbki i wzory talentów i zamożności kraju, który miałam zaszczyt reprezentować. Zjawiałam się bowiem zawsze jako ta "nasza hojna Polka", zaopatrzona w parę litrów "wyborowej", wieńiec "krakowskiej" (tej najsmaczniejszej w świecie, co tak trzaska pod zębami) w tuzin łódzkich pończoszek (z tych, co szły nawet do... Paryża!) kupon bielskiej wełny, wodę kolońską Szacha, niezmówną "Korę" Pulsa. Nie rzadko w darze ślubnym wiozłam dla którejś z kuzynek zaleszczycką makatkę o wzorze Skoczylasa czy Stryjeńskiej, sznur bałtyckich bursztynów, rzeźbioną szkatułkę zakopiańską, barwny talerz huculski. A już dla dzieciarni nigdy nie brakło w moich walizkach tradycyjnej "mlecznej" z orzechami Wedla, bijącej wszelkie Suchard'y.

Obecnych przy wypakowywaniu aż dziw brał, że dary moje dochodziły z owej dalekiej, wiecznie zaśnieżonej ziemi, po której hasają bezkarnie rozzuchwalone niedźwiadki, płoszone przez janczary śmigających "trojek", ale za to kraju niepospolitych ludzi, niestety przez podziały ogromnie zróżniczkowanych. Przy sposobności dowiadywałam się, że ludność Polski dzieliła się na trzy różnojęzyczne warstwy, a więc: na arystokrację, mówiącą po francusku, na kupców szwargoczących po niemiecku i "żydowsku" oraz na chłopów zwanych batiarami lub burłakami, nędżnych analfabetów, za to pięknie śpiewających swe przesmutne, ruskie pieśni o zachodzie słońca nad Donem...

A więc w Polsce nie mówiło się po polsku. Dopiero genialny "Synkewitz" mozolnie wygrzebał rodzinny język Sarmatów z pod gruzów niewoli, jak to czynią obecnie wielcy synowie innego cierpiętniczego kraju — Irlandii.

Wysłuchując podobnych dowodów ignorancji ze strony ludzi chępiących się swą starą klasyczną kulturą i wiedzą, czułam, jak topniał we mnie tak często oplakiwany w Kraju kompleks "nie-Polki, nie-katolki", jak żartobliwie nazywał mnie Miecio Węgrzyn, arcyzdolny syn Józefa, filar sceny orzedwojennej.

Ustrowszy się w piórka wielkich cór i synów Polski, brałam się do oświecania moich zachodnich krewnych, szczególnie tych leciwszych, dla których m o j a Warszawa wciąż jeszcze trwała jako prowincjonalna replika Sankt Petersburga.

Swą proojozyńnianą (wtedy mówiło się: państwotwórczą) działalność rozpoczynałam od samowzwanego ambasadorowania kultury polskiej, by poprzez propagandę turystyki kończyć na improwizowanych przekładach romantyków i — w wyniku samej dać się ogarnąć tęsknocie za krajem, w którym winą jest duża popsować gniazdo na gruszy bocianie"...

Słuchano mnie z wielkim zainteresowaniem. Ciotunie i kuzynki wpatrywały się we mnie, jak owe Pacunele z Trylogii. A ja — ja rosłam, rosłam na drożdżach swej pansławistycznej wyższości nad resztą murzejacej w posadach zachodniej Europy.

Ten idylliczny stan rzeczy brutalnie przerwały przygotowania do wojny. I — jak w mieszanych rodzinach bywa, staliśmy się sobie raptem wrogami.

Odżyły może zamarłe, może po prostu mistrzowsko ukrywane dotąd animozje i pretensje. Tak więc list kuzyna z Berlina poprzestany był złośliwymi aluzjami do "korytarza", wuj-dziadek z Bolzano przepowiadał marny koniec Mussoliniego za Tyrol, ale zarazem pijąc do wszystkiego co "sezonowe"; wiedeńscy krewniacy bili w tę samą strunę, wyrażając Duczemu, za to, że ten zamakaronił Triest; ciotka z Mediolanu znów czyniła mą babcię odpowiedzialną jeszcze za... Serajewo. Taktowna "Auntie Tilly" z Hanoweru radziła nam po dobremu, ażeby jednak Gdańsk oddać Niemcom; nieznani mi młodzi kuzyni włoscy osiadli w Kairze, każda kartę pocztową kończyli strofą z "Giovinezzy", co — pamiętam — ogromnie nas żenowało wobec listonosza-komunisty.

Jak by nie dość było różnicy poglądów natury politycznej, to jeszcze wyskoczyły antagonizmy wyznaniowe. Krewni protestancy zżymali się na katolickiego Hitlera czy Goebbelsa, katolickich — mierzył nawrót do pogaństwa propagowanego przez luterńskiego Rosenberga.

I zaczęły dziać się dziwne rzeczy, co w końcu przerwało wszelkie kontakty z zagranicą.

Na szczęście wszystko ma swój kres w tym życiu. Choć zdawało się chwilami, że długie lata "krwawego nonsensu", jak ostatnią wojnę nazwał Tomasz Mann, nigdy nie miną, pewnego dnia ustały na dobre. Niestety, nie dla wszystkich sprawiedliwie.

I znów powędrowałam w świat. Tym razem bez wyborowej i bez krakowskiej.

Złośliwy los miał w tym swą przyjemność, że poszturczał mnie drogami, którymi niegdyś wozilałam się wygodnie jako turystka. Po długiej tułaczce zakurzony autostop przeznaczenia zrzucił mnie wraz z tysiącem podobnych do mnie na wyspę Wystygłych Serc, jak Anglików (z wyjątkiem serdecznego Dickensa) zwał Kornel Makuszyński, kochana łysa pała z naszych bezgrzesznych lat...

II

Była niedziela i jedno z owych tylekroć opisywanych popołudni angielskich, które samotnego przybysza nieobeznanego jeszcze z ciekawym gruntem Wyspy nastrojały samobójczo. W takich sytuacjach ratuje mnie zwykle "gra w zadowolenie" czyli lektura dobrej książki kucharskiej, a w braku tejże — telefonicznej.

Wertując najobszerniejszy spis abonentów na świecie, bo miasta jedenastomilionowe, przypominałam sobie, że mieliśmy przecież krewnych "podobno i w Anglii".

Jakież było moje zdumienie, gdy odkryłam, że nasze rodowe nazwisko, które w pewnej części Europy jest pospolite, jak pchła na psie, tutaj jaśniało wyjątkowością i oryginalnością szlacheckiego kamienia wśród żwiru Brownów, Smithów i Thompsonów. Napelniona niewysłowioną otuchą i poczuciem własnej wartości, postanowiłam przy najbliższej sposobności zaspokoić swą ciekawość genealogiczno-heraldyczną natury.

— ★ —

Ranek był chłodny i wietrzny ale, jak na Londyn, wyjątkowo suchy i jasny. Okszermy piętrowy autobus, w którym wszystkim wolno siedzieć a nikomu stać, zawiózł mnie malowniczym szlakiem wąskich i krętych uliczek do opiewanego Kensingtonu, serca Londynu. Wedrując po pięknej, zadrzewionej dzielnicy, stanęłam wreszcie przed niewielkim, starym gregoriańskim pałacykiem. Mie-dziane cyfry, na które składał się numer domu, o który mi chodziło, czyściła właśnie zamazystymi ruchami starsza jejmość na posługi w kapeluszu przybranym kwiatami, w okularach na łańcuszku i z dymiącym papierosem w kąciu ust.

Zakolałam dyskretnie również miedzianą łapą przytwierdzoną do furtki. Jejmość przerwała robotę i spojrzała na mnie spod okularów nieufnym wzrokiem funkcjonariusza Scotland Yard'u.

— What do you want? 1) — zapytała wyniośle.

Tym samym tonem odparłam:

— Chcę mówić z panem Ellem.

Potrząsnęła przecząco głową.

— Impossible, I'm afraid. Mister jest przeziębiony.

— Ach, jaka szkoda — zajęczałam i głosem, który rozbroiłby najzatrważalszego sierżanta komandosów, zadeklamowałam w stronę wpółotwartych drzwi wejściowych:

— Mój Boże! I pomyśleć, że przemierzyłam cały kontynent, by móc ujrzeć go w oryginale!

Posługaczka znów przerwała pucowanie i wyjęła papierosa z ust.

— You don't meant? 2) — powątpiła.

— I mean it! — potwierdziłam stanowczo.

Odłożyła na schodku swe ściereczki, by otworzyć furtkę.

— Proszę wejść. A gdzie pani się zatrzymała, jeśli mogę wiedzieć?

— W pensjonacie "Primrose", w Swiss Cottage — wymieniałam dzielnicę dla zadania szyku, bo sam "boarding house", w którym wegetowałam był bardziej niż skromny.

Jejmość musiała być sentymentalna; najwidoczniej wzruszyła ją poetycka nazwa pensjonatu. Może wzbudziła jakieś odległe już, słodkie wspomnienie.

— Primrose... — powtórzyła z łezką w gardle. Spojrzała na mnie jakoś przychylniej i mrugnęła obiecująco:

— I'll see what I can do for you 3) — szepnęła i znikła za drzwiami, zza których wionęło Irish Stew'em, potrawą przypominającą nasz spiechony, rozwodniony gulasz, ale w owej chwili jego zapach podniecił me nozdrza nie mniej, niż ongiś aromat kwiecia bzu.

Na progu stanął wysoki, szczupły starszy pan z hidalgią opierając się o srebrny pałeczek laski. Ubrany był w ciemno-popielatą flanelową podomkę z wyhaftowanym błękitnym smokiem na górnej kieszeni. Pomarszczoną szyję otulał mu jedwabny szal koloru naszego niezabielanego barszczu.

Przyjrzał mi się badawczo swymi niebieskimi szklano-przejrzystymi oczami bez dna, (tak charakterystycznymi dla rodziny mojego ojca). Z jakiejś tragicznej powagi przypominał Don Kiszota po klesce z wiatrakami. Niestety, jego urok pięknego starca pierzchnął, gdy noruszył wąskimi wargami:

— What do you want?

— Well... — zaczęłam niezręcznie, z trudem pokonując oniesmielenie — pan wybaczy najście, ale w drodze do Stanów Zjednoczonych, zahaczyłam o Londyn i zupełnie przypadkowo natknęłam się na nazwisko pana, które zarazem jest i moim własnym... Jestem z Warszawy...

— And? — przerwał mi sucho.

— And... pomyślałam sobie, że jeżeli jedna trzecia książki te-

lefonicznej poświęcona jest Brownom, jedna trzecia Smithom, to...

— To co?

— ... to pozycja n a s z e g o nazwiska, jedyne w spisie jest raczej interesująca. Isn't it? — uśmiechnęłam się pojednawczo.

Nie przekonałam go.

— Może istnieje więcej mieszkańców Londynu o tym nazwisku, ale nie posiadają telefonu — zauważył z pedanterią.

— Certainly — przyznałam ulegle — ale... you see — tu odchrząknęłam parę razy, by przywrócić sobie poprzedni swobodny, niemal poufaly ton — rodzinę pana wspominał nieraz za życia mój kochany dziadzio a ostatnio pisała mi o niej moja miła ciocia Matylda z Hanoweru, dla swoich proangielskich sympatii zwana przez nas "auntie Tilly". Jej najstarsza siostra, nieżyjąca już Johanna Mund, żona profesora z Brunswiku, prowadziła przed wielu laty pewien nobliwy zakład naukowy dla "panienek z dobrego domu". Otóż jedną z jej uczennic była niejaka skromna i niezamężna Marie Augusta von Teck, późniejsza księżna Yorku, następnie — Walii, obecnie ... Queen Mary — dodałam dyskretnie, zciszywszy głos.

Mister nadstawił ucha. Moja znajomość almanachu rodzinnego starszego rocznika wyglądała mu surowy mars na czoło. I ton jak by złagodniał.

— Z rodziną, którą pani wymieniła, straciłem kontakt od wybuchu wojny światowej. Gałąź, z której jestem ja — wyprostował się dumnie, jakby usłyszał za sobą dźwięki "God save the King" — trwa tu wiernie od króla George'a IV, ostatniego z dynastii hanowerskiej. Moja młodziutka wówczas prababca przybyła tu z fraucymerem księżniczki Karoliny brunświckiej, gdy ta stać się miała właśnie żoną George'a IV, zresztą kuzyna jej.

— Wiem o tym.

— Jak pani widzi, jesteśmy już zupełnie zangliczeni — dodał wyniośle.

— Nie tak zupełnie — zauważyłam z przekąsem — skoro Niemcy w służbie "Hanowerczyków", jak i ich potomkowie, wzorem swych panów jeździli po żony do Vaterlandu. A jeden z osiadłych tu Ellemów — to też wiem od cioci Matyldy — ożenił się nawet z niejaką panną Rozenkranc.

Starszym panem aż podrzuciło.

— V o n Rosenkrantz — poprawił ze zgrzytem zębów — z duńską baronówną von Rozenkrantz, moją matką — uzupełnił z podniesioną głową.

— Sorry.

— Coś takiego! — zachnął się nie na żarty — coś takiego! U nas w rodzinie nigdy, słyszy pani, n i g d y nie było... — tu zatrzymał się, jak zahamowany motocykl.

Uśmiechnęłam się dwuznacznie, szelmowsko przechylając głowę. — Tego pan n i g d y, słyszy pan? n i g d y nie może twierdzić. A co szeptą o małżonku Wiktorii, urodziwym księciu niemieckim Albercie? Ze... mamusia jego... zapatrzyła się w swoim czasie w pięknym brunecie, synu bankiera z Frankfurtu nad Menem...

— A bo to prawda — wruszył ramionami.

Raptem spojrział na mnie złym, badawczym wzrokiem i wyciągając swój długi palec wskazujący w moim kierunku, zawołał głosem odkrywcy:

— You! You... probably are!

— Ja? Ależ skąd! — obruszyłam się — jakżebym śmiała z tym naszym godnym nazwiskiem!

Jeszcze wciąż przyglądał mi się z podniesionym palcem.

— Zdaje się panu — uspokoiłam go — ja tylko tak inteligentnie wyglądam...

Zwiedle usta drgnęły w uśmiechu, który siłą został z miejsca uśmiercony. Ale palec znikł w kieszeni i ton stracił na wyniosłości. — A więc w czym mogę pani pomóc? Bo widzi pani, ja... ja teraz...

— Pomóc? — przerwałam zgorszona — ależ w niczym, w niczym. Chciałam jedynie poznać pana osobiście, powitać w nim mojego angielskiego krewnego. That's all!

— Ale, że miała pani od razu taką pewność — zdziwił się.

— Od razu — niezupełną. Mogłam jedynie przypuszczać. Natomiast teraz nie mam już żadnej wątpliwości. Pan j e s t moim krewnym.

Poruszył głową, jakby go szalik uwierał. Może chciał coś wyjaśnić czy sprostować.

— Tylko zechce mi pan nie przerywać — rzuciłam władczo.

Z każdym słowem ubywało mi potulności zubożałej krewniej. Już nie pozwoliłam się tolerować. To j a tolerowałam.

— Widzi pan — każdy stary klan posiada swój rodzinny dowód osobisty, wykazujący pewne właściwe mu cechy, nieraz znaki. W panu zgrupowały się one wyjątkowo liczebnie i wyraziście, tak zewnętrznie, jak i...

Przechylił głowę, by lepiej słyszeć.

— Jest pan wysoki, długolinijny, przystojny, dystygowany...

Łuki zwiedłych warg poszły w górę.

— ... ale: zarozumiały, kostyczny, snob, nieufny, antysemita i — jakże niegościnnie! Wszystkie cechy moich teutońskich krewniaków!

Łuki zwiedłych warg opadły i zadrżały.

— No tak, zważywszy, że rozmawiamy ze sobą już tak długo

a pan nie raczył nawet zaofiarować mi krzesła albo szklanki wody. A gdyby pan wiedział, ile się nachodziłam, jakie mam pragnienie! I jeszcze jedno: to, co mnie najbardziej zabolalo — nie zareagował pan nawet mrugnięciem oka, gdy wspominałam, że jestem z Warszawy. Pan wie, co oznacza W a r s z a w a ?

Był purpurowy; ciemniejszy od swego szalu. I oczy mu wyszły z orbit.

— A indycy się pan tak samo, jak "oni" — dodałam, zbiegając ze schodków.

Pobiegł za mną, wywijając laską, jak to zwykły był robić mój "strasliwy dziadunio", gdy był rozeźlony na kogoś. I naraz poczułam coś w rodzaju sympatii do tego kościstego dziwaka.

— Bye, dear uncle — posłałam mu dłońią całusa.

Posługaczka stała zamieniona w słup soli, tylko jej okrągłe oczy śmiały się z uciechy.

— Wait, wait, you crazy woman 5) — krzyczał za mną — do phone, please, rufen Sie mich, bitte, an!

Ja już byłam na ulicy.

— I nie stój na wietrze, stryjasku — zawołałam zza furtki — pamiętaj o naszych rodzinnych skłonnościach do anginy! Ciriooo! — rzuciłam jeszcze wesoło, rozdokazywana, jak sztubaczka.

— ★ —

Do pensjonatu wróciłam późnym wieczorem. W hall'u, na stoliku pod ściennym telefonem znalazłam "message": zadzwonić pod ... Tu następował numer. Poprzedzał go skrót telefoniczny: K E N.

Uśmiechnęłam się ze szczerym zadowoleniem ale nie skorzystałam z niego. Zauważyłam bowiem leżący obok jasno-zielony kartonik z dzielnicowego Urzędu Pracy, przeznaczony dla mnie. Obiecywał doskonałe płatne zastępstwo wakacyjne zarządzającej w szacownym domu byłego nadrabina byleż Nadrenii.

Czy stary "sir" zrozumiałby?...

Mira Carla Sławińska.

1) Co pan/pani chce? — charakterystyczne pytanie Anglika na widok nieznanej osoby.

2) Nie mówi pani serio?

3) Zobacze, co będę mogła zrobić dla pani.

4) Primrose — pierwiosnek.

5) Zaczekaj, szalona kobieto!

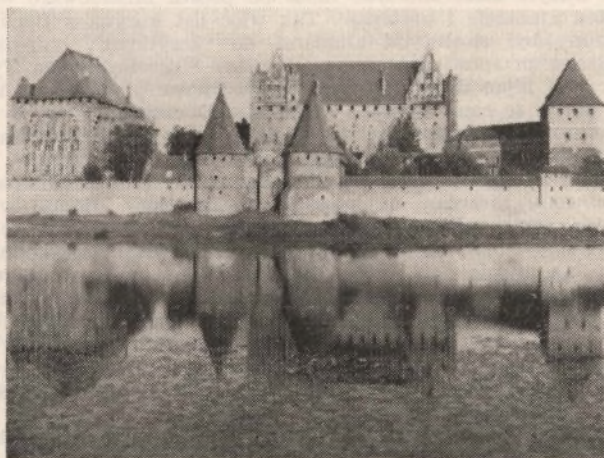
Esporte Universal Ltda.

ARTIGOS PARA TODOS OS ESPORTES
E UNIFORMES PARA COLÉGIOS

Rua Líbero Badaró, 356 — TEL.: 37-5660

Caixa Postal, 4413

SÃO PAULO



Gotycki zamek z XVI wieku w Malborku, wspaniały przykład średniowiecznej sztuki fortyfikacyjnej. Na zdjęciu — widok od strony Nogatu.

DELEGADO

JAN KRAWCZYK

Dotarli do Maranduby przed świtem, gdy miasteczko spało jeszcze w najlepsze, a koguty zaczynały dopiero piąć. Nowakowski, choć nie znał terenu, manewrował tak szczęśliwie, że zatrzymał jeep akurat przed więzieniem. Wysiadając skierował lufę rewolweru w leb draba, który wcale się tym nie spieszył.

— Nie przestraszy mnie pan tą zabawką, seu coronel, — roześmiał się. Zresztą nie zrobiłem panu nic złego. Bierze mnie pan za kogoś innego.

— To się okaże. Clodoaldo, bądź delegado.

Chłopak wyskoczył z wozu i zakotłował do drzwi domu. W blednącym z wolna mroku ukazał się niski, przygarbiony budyniec o kilku oknach, z których dwa były zakratowane. Jedno z tych niezakratowanych otworzyło się i wyjrzała z niego rozczochrana głowa. Drab nie wychodził z samochodu, tylko rozparł się w nim jeszcze bardziej. Za nic sobie, widać, miał Nowakowskiego.

— Wyłaź! — pieklili się Nowakowski. — Dosyć cię wytrzymało na wyboistej drodze. Należy ci się wypoczynek.

— Po co się spieszyć? Czy nie lepiej zaczekać póki się rozwidni?

Tymczasem rozczochrany lew w oknie zdobył się na zapytanie:

— Co za diabeł tłucze się po nocy?

— Seu delegado, przywiozłem panu nowego pensjonariusza.

— Idźcie do jasnej cholery! Cale miasto śpi, a wy tu urządzacie awantury. Jeżeli trzeba będzie kogoś zamknąć to przede wszystkim ciebie, przyjacielu, za zakłócenie spokoju. Co do diabła, pali się czy jak? Do południa czekać nie laska? Głowa mnie boli, mało nie pęknie, a tu wstawaj człowieku, nie wiadomo po co. Wszyscy jesteście dla mnie podejrzani. Nie znam was i nie chcę znać. Sumam-se daqui!

Rzekłszy to delegado zatrzasnął okiennicę, aż tynk się posypał. Clodoaldo odskoczył od okna, jak oparzony.

— Szkoda pańskiego trudu, seu coronel, — odezwał się drab.

— Znam dobrze delegada i mogę zapewnić, że przed południem nie załatwi nikogo. Lepiej niech pan zrezygnuje, co panu po tym? Gdzie jest napisane, że trzeba mnie oddać na darmowy wikt? Czym się panu naraziłem? Zmęczony pan jest to zwidując się panu dziwne rzeczy. Albo złe pana opętało. Ale z tym damy sobie radę. Znam takie zaklęcie, że wszystko odejdzie jak ręką odjął.

— Zamknij lepiej gębę.

— To pańska wina, ja nie zaczynałem.

Nowakowski był wściekły na delegada, na siebie i cały świat. Nie wiedział co zrobić z drabem. Trzymać go w wozie nie było sensu, ponieważ mógł utrudniać poruszanie się po miasteczku, a puścić wolno znaczyło sprzeniewierzyć się własnym zasadom. Miał na to przecież namacalne dowody, wiedział, że trzeba lotra oddać jak najprędzej w ręce sprawiedliwości. Ale czego się można spodziewać po takiej sprawiedliwości, która nie chce przyjąć złooczyńcy?

— Seu coronel, mam tu wielu znajomych. Lepiej pan zrobi puszczając mnie wolno. Po co się narażać?

— A jeżeli tego nie zrobię to co? Czekam na zemstę?

— Niech pan sam sobie dośpiewa.

Nowakowski przed chwilą gotów był puścić lotra wolno, mógł sobie pozwolić na taką małą wspaniałomyślność. Ale teraz zaciął się. Podrażniona ambicja kazała mu zająć niezłomną pozycję.

... — Nie puszczę cię choćbym musiał czekać do wieczora. A pogroźki swoje zachowaj dla takich bohaterów jak ty.

Drab zacisnął szczękę.

Rozwidniało się. Z mroku wylaniały się domy, odgródzone od ulicy ogródkami, w których spoza płotków bambusowych wychylały się rachityczne drzewka pomarańczowe i brzoskwiniowe. Tu i ówdzie sterczały białe uschniętych kwiatów. W pobliżu zaszelekał pies, krótko, jakby niechętnie.

Nowakowskiego ogarniała senność.

— Zakręć się gdzieś za wodą, — powiedział Clodoaldowi — Pić się chce, ledwo się trzymam na nogach.

Zza dalekich wzgórz wypłynęło olbrzymie, czerwone słońce. Wyglądało, jakby kapala z niego krew. Zrobiło to na Clodoaldzie niesamowite wrażenie. Kopnął się szybko po wodę. Szedł prosto przed siebie, obserwując mijane drzwi. Ale wszystko jeszcze spało w miasteczku. Dopiero po dłuższym czasie doirzał wyglądającą z nędznej chaty starą Murzynkę. Wynosiła na dwór blaszankę z pomyjami. Za nią wylazło nagie dziecko i placzliwie zaczęło się dopominać o jedzenie.

— A ty skąd, z caatingi?

— Tak. Pomyję o wodę.

— Nic tu po tobie, chłopcze. Głód już zagląda do domów. Ludzie wynoszą się gdzie oczy poniosą. Masz tu wodę, tylko oddaj garnuszek, pamiętaj.

Clodoaldo zawrócił do jeepa.

Drab siedział teraz na stopniu wozu i poplukał gębę przed siebie. Nowakowski stał przed nim z rewolwerem w garści i chmurnie spoglądał na wciąż jeszcze zamknięte okna komisariatu. Wziął od

Clodoalda blaszankę i przez chwilę przyglądał się wodzie.

— Ja tej wody nie wypiję!

— Daj pan mnie — zawołał drab.

Nowakowski pochylił się nad nim. Drab wyszarpnął blaszankę i chlusnął mu gwałtownie wodą w oczy. Gdy Nowakowski, klnąc szpetnie, otarł sobie twarz zobaczył już tylko znikające za najbliższym narożnikiem plecy bandyty. Strzelił dwukrotnie i chybił. No cóż, zadowolony był nawet z takiego zakończenia sprawy.

W jednym z zakratowanych okien więzienia ukazał się zasuszony Mula.

— Co się stało?

— Uciekł taki sam bandyta, jak ty.

— A skąd pan wie, seu forasteiro, że jestem bandyta?

— Musiałeś coś zrobić kiedy cię posadzili.

— Każdy broi, jeden mniej, drugi więcej. Ale sadzą tylko tych, którzy nie mają protekcji. Co do mnie to siedzę niewinnie. Brałem wprawdzie udział w bójce, ale dostałem się do kozy dlatego, że mój przeciwnik żyje w dobrej komitywie z komisarzem.

— Ładnego tu macie komisarza — mruknął Nowakowski i podając Clodoaldowi pieniądze powiedział: — Leć i przynieś kawałek chleba i kiełbasy. Umieram z głodu.

— Już chyba nie więcej, niż ja — dobiegło zza kraty. — Dają tu tylko dwa razy dziennie jeść i co za jedzenie! Pies nie chciałby go powąchać. Zdechnę chyba w tym chlewie, bo nie mam stu krzyków na wykup.

Dwie przecznice dalej mieścił się w narożnym domu bar. Drzwi były już otwarte na oścież.

— Jest tu coś do zjedzenia?

— A pieniądze masz? — odparł człowiek stojący za kontuarem.

— Mam.

— No, to wejdź. Da się coś wykombinować.

Po chwili obaj z Nowakowskim siedzieli przy stoliku, na którego blacie wyryte były imiona męskie i kobiece, wyzwiska, głowy niewieście, serca przeszyte strzałą i niezrozumiałe zaklęcia. Lokal był ciasny, gołe ściany, brudny kontuar, za nim na półkach kilka butelek graspery i likierów owocowych. Przez uchylone drzwi od kuchni dochodził szczelek naczyń i głos kaszłającej kobiety.

Po dłuższym oczekiwaniu gospodarz wychylił się z tych drzwi i postawił przed gośćmi filiżanki z kawą i talerz z pokrajanym chlebem tak suchym, że ledwo go można było ugryźć. Ani kiełbasy, ani masła, ani jaj.

— Nic więcej nie mamy. Wszystkiemu winna posucha.

— Co robisz ludzi?

— Nic. Siedzą i czekają. Na deszcz. A deszczu nie ma.

— Poszedł by tu kto do pracy?

— Zależy do jakiej?

— No, do kopania rowów, dźwigania kamieni, przenoszenia żelaza....

— Gdzie?

— W Cova dos Mortos.

— Daleko. Nasi ludzie nie lubią wyjeżdżać.

— Wola głodować?

— Ale na własnych śmieciach. Przyjdą panowie na obiad? Może być kura.

— Dobra, przyjdziemy.

Wyszli na ulicę. Słońce zaczynało już prażyć. Nowakowski zastanawiał się do kogo się zwrócić o pomoc przy werbowaniu ludzi. Po to tu przecież przyjechał. Nie wiedział jak się do tego zabrać.

Postanowił w końcu udać się do księdza. Padre, staruszek zresztą, wyjechał właśnie do ciężko chorego. Okazało się, że nosił ludziom nie tylko słowo Boże, ale leczył ich także, gdyż jedyny doktor, który tu przebywał, przeniósł się do Fortaleza. Miał tam więcej pacjentów i zamożniejszych.

Nie zastał również prefekta. Ten wybrał się dla odmiany do brata na odległą o sto kilometrów fazendę. Jedyny urzędnik, sekretarz, siedział za biurkiem i nudził się piekielnie. Dla rozrywki rozlał na stole kawę i bił linijką złączając się do brei muchy. Szło mu to nieźle, miał już przed sobą spory stos much. Na widok Nowakowskiego ożywił się. Nie, robotników tu nie dostanie. Co młodszy i silniejszy dawno stąd wywedrowali. W końcu zapytał Nowakowskiego o przynależność partyjną.

— Nie należę do żadnej partii.

— Ach tak! — powiedział sekretarz.

Jego zainteresowanie Nowakowskim nagle wygasło. Zabrał się z powrotem do much.

— Ale może delegado! — powiedział na odczepne. — To bardzo dzielny człowiek. On jeden mógłby panu coś doradzić.

Przed komisariatem stało dwóch zbrojnych w karabiny policyjantów i pilnowało jeepa.

Jeden z nich zasalutował Nowakowskiemu i powiedział uprzejmie, wskazując uchylone drzwi:

— Czekają tam na pana.

Nowakowski wszedł do obszernego, dość niechlujnie wyglądającego pokoju, w którym pachniało dymem tytoniowym i kurzem. Zaraz od progu doznał niemitego zaskoczenia. Za stołem obok komisarza siedział rozparty na krześle drab, który niedawno wymknął mu się spod opieki. Pożył się gdzieś łachmanów i miał na sobie całą koszulę, niezłe spodnie, a na bosych przedtem stopach alper-



PRZESZŁOŚĆ A TERAŹNIEJSZOŚĆ — PRZESZŁOŚĆ A TERAŹNIEJSZOŚĆ —

Znów na Pawiaku

Wspomnienia więźnia Gestapo

(D. c. z. nr. 39)

Czas się dłużył. Ból głowy nie ustawał, a do tego przyłączyło się uczucie pragnienia i głodu, ponieważ od rana nie miałem nic w ustach. Napięcie nerwowe dochodziło do szczytu.

Zapadał już późny wieczór zimowy, gdy syn powrócił z przesłuchania. Był poważny i skupiony. Czekałem z utęsknieniem na powrót pozostałych więźniów — dopiero wtedy mogliśmy powrócić na Pawiak. Wreszcie wszyscy znaleźli się w "tramwaju". Wywołano nas według nazwisk, wyprowadzono na korytarz, przeleczono i skierowano do oczekującej już na nas "budy".

Na Pawiaku znowu nas przeleczono i zapędzono do łaźni. Był to zwykły ceremoniał mający rzekomo na celu względy higieniczne, a w rzeczywistości będący jeszcze jedną szykaną, dającą możność ponownej rewizji odzieży i kradzieży i tak już uszczuplonej naszej garderoby. Co tu mówić o higienie kiedy administracja więzienia nie zwracała wcale uwagi na panujący w celach smród i brud, na mnóstwo pluskwów i pcheł, dokuczających nam niesamowicie w dzień i nie dających spać w nocy.

Znaleźliśmy się w łaźni bez opiekunów co umożliwiło porozumienie się ze sobą i usłyszenie ostatnich wiadomości od

obsługi, składającej się przeważnie z inteligencji żydowskiej. Można tu było spotkać sławnych architektów, adwokatów, lekarzy, profesorów, literatów i artystów. Biedacy ci doskonale wiedzieli, że dni, a może godziny ich życia są policzone, a jednak zachowywali pogodę ducha i spokój. Koleżeńscy i życzliwi częstowali nas papierosami, do których mieli prawo jako funkcyjni, ostrzegali przed agentami, umieszczonymi w celach, a nieraz dzielili się resztkami skromnej swej żywności, co stanowiło akt najwyższego wyrzeczenia się, gdyż w więzieniu panował głód. Nie zapomnę nigdy tych towarzyszy niewoli, a wdzięczność dla nich zachowam do śmierci. Wszyscy zginęli z rąk katów hitlerowskich.

Dopiero w łaźni syn poinformował mnie o przebiegu badania. Usiedliśmy na ławce w półciemnym i zacisznym kącie, pewni że nikt nas nie podsłucha, gdyż szum wody lejącej się z kranów głużył słowa.

— Zaledwie zdążyłem wejść do pokoju — opowiadał syn, — gdy usłyszałem uprzejme: "Dobry wieczór, panie poruczniku!" Zbliżył się do mnie oficer w mundurze esesmana, wyciągając rękę na powitanie. Chwilę się wahalem, ale musiałem przyjąć podaną mi dłoń.

— Proszę zająć miejsce przy biurku, zdjąć płaszcz i zapalić papierosa.

Tu major wyjął papierosnicę. Odmówiłem, jako nie palący. Zaczął przegladac jakieś papiery leżące na biurku. Trwało to kilka minut.

— Muszę pana zawiadomić — powiedział nagle, — że ojciec przyznał się do wszystkiego. Miałem w ręku tak oczywiste dowody, że nie mógł się zapierać. Wyjaśnił dokładnie zarówno swoją, jak i pańską rolę w AK. Musi pan jedynie uzupełnić te zeznania.

W lot zrozumiałem intencje majora. Była to nieudana pułapka. Przerwałem jego wynurzenia oświadczając, że w sprawie zeznań ojca nie mogę zabierać głosu, gdyż nigdy nie byłem wtajemniczony w jego działalność.

— Co się tyczy mnie — dodałem — to nie jestem porucznikiem, lecz jedynie podchorążym szkoły kawalerii w Grudziądzu.

— Ale walczył pan przeciw nam w szeregach I Pułku Szwoleżerów, jako dowódca szwadronu?

— Tak, walczyłem, jako dowódca plutonu. Do AK nie należałem. Wiem o istnieniu tej organizacji z obwieszczeń policyjnych.

— No, doskonale. Ale jako student prawa należał pan przecież do organizacji prawniczej kierowanej przez Mosdorfa. Wyrzeka się pan AK, może się pan jednak przyzna do udziału w bojówkach endeckich?

Odpowiedziałem bez namysłu, że nigdy nie interesowała mnie polityka i że na skutek tego nie należałem do żadnej partii.

caty. Przemiana ta byłaby korzystniejsza, gdyby nie skoltunione włosy na łbie i gębie. Taki prosty przedmiot jak grzebień był mu prawdopodobnie zupełnie nieznanym.

— Ach, to pan nie dał mi spać rano? — odezwał się delegado, pochylając się nieco do przodu, jakby chcąc przyjrzeć się lepiej rozmówcy. — Zdaże pan sobie sprawę na co mógł się narazić?

Nowakowski wzruszył ramionami. Zorientował się, że cokolwiek by świadczył przeciw mordercy nie odniesie to skutku. Drab musiał znać komisarza od lat. Lepiej było nie poruszać drażliwego tematu. Powiedział spokojnie:

— Słyszałem o panu jeszcze w Cova dos Mortos jako o wykształconym i mądrym człowieku, seu delegado. Sam Carvalho polecił mnie panu.

— Carvalho? Owszem szanuję bardzo pana Carvalho. Ale o co chodzi?

— Chciałem prosić o dopomożenie przy zaciągu ludzi do pracy.

— A skąd ich wezmę? Urodzę ich, czy jak? Ale nie skończyliśmy jeszcze sprawy z tym oto człowiekiem. Życzył pan sobie pewno, żeby go zamknąć?

— Przywiozłem go z caatingi i ponieważ wydał mi się podejrzany postanowiłem przedstawić go panu, aby ze względu na bezpieczeństwo mieszkańców Maranduby sprawdzić kim jest i jaka jest jego przeszłość.

— Ja go dobrze znam i ręczę za niego.

— Tym lepiej. Wobec tego nie mamy o czym mówić. Mała prośba. Trzyma pan w zamknięciu człowieka. Chciałbym go wykupić.

— Znajomy?

Nowakowski uśmiechnął się.

— Tak.

— Dorotéa, — zawołał delegado, zwracając się w głąb mieszkania — wypuść Altamira. Niech idzie do diabła. A pan musi jeszcze zapłacić za pilnowanie wozu. Razem dwieście pięćdziesiąt kruczej-rów. Até logo, amigo!

Przed samochodem nie było już policjantów. Po chwili nadszedł Altamir. Był chudy jak szczapa, ale wyglądał na człowieka zdrowego. Wysoki, grubokościsty, brakło mu tylko pożywnego jada, a mógłby być z niego dobry robotnik.

— Dziękuję panu za wolność. Czym się mogę odwdzięczyć?

— Chcesz pracować?

— Czemu nie?

— Zabieram cię ze sobą. A ty, Clodoaldo?

— Zostaję.

— Nie boisz się?

— Nie.

— Jak sobie chcesz. Ja wracam i Maranduba nigdy mnie już nie zobaczy. Co za ludzie! Różnych widziałem, ale takich jak ten delegado nigdy!



Walki w Południowym Wietnamie (USIS).

— A jakie nielegalne wydawnictwa pan czytuje?

— Żadnych.

— Skoro twierdzi pan tak kategorycznie, że nie należy do ruchu oporu to wynika z tego, że jest pan wobec nas lojalny. Może pan więc ujawni osoby, które są nieżyczliwie lub wrogo usposobione wobec zwycięskiej armii niemieckiej i władz cywilnych na terenie Generalnej Guberni. Polska, proszę pana, przestała istnieć jako państwo i wkrótce zostanie całkowicie wcielona do Rzeszy.

To powiedzenie tak mnie podrażniło, że przestałem panować nad nerwami.

— A co by pan zrobił — zawolałem — gdyby znajdował się w podobnej sytuacji do mojej? Nie sądzę, aby zdobył się pan na splamienie munduru i własnej godności!

Reakcja majora była nieoczekiwana.

— Podzielał pański pogląd. Słów, które pan wypowiedział przed chwilą nie umieszczę w protokole. Ale na przyszłość radzę być ostrożniejszym i nie unosić się, nie każdy potraktuje pana jak ja.

Na tym zakończone zostało badanie. Kazano mi podpisać protokół. Prosiłem o dopisanie, że wiem o istnieniu AK z obwieszczeń policyjnych, ale mi odmówiono. Kiedy nalegałem protokółant uderzył mnie silnie w tył głowy. Major zareagował na to gwałtownie, wymyślając podwładnemu. Nie pozostało mi nic innego jak podpisać protokół. Żegnając mnie major przeprosił za, jak się wyraził niepoetykalny czyn protokółanta, dodając, że zostanie za to ukarany. Radził dobrze się namyśleć, gdy zostanie ponownie wywołany na śledztwo, gdyż od mojej postawy zależy los nie tylko nasz, ale i matki. Gdybym chciał przyspieszyć zakończenie sprawy i zmienić dotychczasowe zachowanie, mogę nie czekając na wezwanie zażądać odstąpienia do dyspozycji majora hrabiego von Schulenberg. ("Tak się nazywałem" — dodał). W razie uległości obiecał mnie wysłać na roboty do Niemiec, albo do obozu oficerskiego. W przeciwnym razie znaleźć się mógłbym na t. zw. "liście", przeznaczony na stracenie. Jestem przekonany, że musiał nas zadenuncjować ktoś kto nas dobrze zna. Łamię sobie głowę kto by to mógł być.

Podzielałem przypuszczenia syna. Okupant zdemoralizował ludzi. Jak w każdym narodzie zdarzały się i u nas jednostki, które dla ratowania własnego życia stawały się zdrajcami. Takim stał się niejaki rotmistrz Dezakowski, były dowódca szwadronu pionierów w Warszawie, który w nieznanych bliżej okolicznościach podjął się współpracy z Gestapo, wydając dawnego dowódcę I Pułku Szwoleżerów, płk. Belinę Prażmowskiego. Niedługo się zresztą cieszył wolnością i życiem. Z rozkazu AK został zastrzelony w bramie domu przy ul. Miodowej, gdzie się ukrywał.

Nie było czasu na dłuższą rozmowę. Każdej chwili mógł się zjawić dozorca. I rzeczywiście, ledwo zdołaliśmy się umyć wszedł dyżurny strażnik i podzielił nas na dwie grupy. Ten podział rozdzielił nas: ja się okazałem w pierwszej, syn w drugiej. Trafiliśmy do właściwej celi, którą opuściłem rano, syn — do innej. Byłem zrozpaczony. Przemknęło mi przez myśl, że stało się to z rozkazu Gestapo. Wyczerpany nerwowo i fizycznie załamałem się. Mijały straszliwe i ponure godziny nocne. Nie zmrzyłem ani na chwilę oka. Już świtało kiedy wydało mi się że znalazłem ratunek. Mógł on przyjść tylko ze strony starosty oddziału. Starszy pan, przystojny, kulturalny i odważny, dawny adwokat z Poznania, cieszył się ogólnym szacunkiem i poważaniem. Ułatwiał nam

życie, wnosił otuchę i nadzieję na lepsze jutro. Niestety, w parę tygodni później zadenuncjowany przez kogoś, jako Żyd, został bestialsko zamordowany w ruinach dawnego Getta.

O godz. 6 rano otworzono wszystkie cele na naszym oddziale i przeprowadzono apel poranny. Poszliśmy do ubikacji. Na czele triumfalnie niesiono parasze. Były to chwile pewnego zamętu i nieładu. Korzystając z tego porozumiałem się ze starostą. Obiecał zrobić wszystko co możliwe, żeby syn powrócił do mojej celi. I obietnicy dotrzymał. Już po rozdaniu lury, zwanej kawą, byliśmy razem. Radość nasza nie miała granic. Była to chyba jedyna dobra chwila spędzona na Pawia-ku.

Tego rana uzupełniono naszą celę nowymi ofiarami Gestapo. Stan liczbowy osiągnął 48 osób.

Na Pawiak wsadzano nie tylko przestępców politycznych lecz i zwykłych kryminalistów. Ci ostatni byli uprzywilejowani i łagodnie traktowani przez esesmanów i dozorców Ukraińców. Za pośrednictwem tych ostatnich nawiązywali kontakty z rodzinami, otrzymywali "grypsy", paczki żywnościowe i papierosy, a nieraz i samogon. Na szczęście niedługo pozostawali z nami, zazwyczaj zwalniano ich lub przenoszono do urzędu policji kryminalnej. Liczebnie grupa ta stanowiła trzecią część ogólnego stanu. Reszta byli to półinteligenci i inteligenci, przestępcy polityczni. W mojej celi siedzieli m. in. Dunin-Wąsowiczowie: ojciec, major W. P. i jego dwaj synowie w wieku 18 i 16 lat, wzięty lekarz Iwanicki, przemysłowiec Bielecki z Poznania, dr. Lubelski i pewien adwokat warszawski, delegat Polskiego Czerwonego Krzyża w czasie okupacji, którego nazwisko, niestety, uleciało mi z pamięci. Był on swego czasu delegowany do Katynia do współpracy z komisją międzynarodową przy identyfikowaniu i rozpoznawaniu zwłok oficerów polskich zamordowanych w Sowietach. Z ludźmi tymi zawarłem serdeczną przyjaźń, trwającą zresztą niedługo, gdyż w ciągu trzech tygodni zostali oni straceni w publicznych egzekucjach.

Historia doktora Iwanickiego była bardzo nieskomplikowana. Szukano jego syna. Ponieważ nie znaleziono go w domu zabrano ojca, oświadczając, że jeśli syn nie stawi się w Gestapo w ciągu 48 godzin będzie rozstrzelany. Syn nie stawiał się, doktor Iwanicki zapłacił za to własnym życiem. Zginął dn. 31 grudnia 1943 r.

W późnych godzinach wieczornych już po godzinie policyjnej, w mieszkaniu doktora Lubelskiego zjawił się nieznany mu człowiek. Podając się za partyzanta prosił o nałożenie opatrunku na nogę zranioną kulą z karabinu. Mówił, że został postrzelony w czasie potyczki z Niemcami. Doktor podejrzewał, że coś tu jest nie w porządku, ale pomocy nie odmówił. W kilka dni potem aresztowało go Gestapo. Przewieziony na Pawiak, a później do Centrali Gestapo na Sucho, został w czasie śledztwa nieludzko maltretowany. Ze złamanymi żebrami, posiniałym całym ciałem, obficie krwawiącego odstawiono go na Pawiak, nazajutrz zaś stracono w publicznej egzekucji na placu Krasieńskich.

Delegat Polskiego Czerwonego Krzyża, jako praktykujący adwokat, przyjął do prowadzenia sprawę cywilną niejakiego Borensztajna, właściciela sklepu z regałami oficerskimi przy Nowym Świecie. Sprawa była błaha. Rozprawa nie odbyła się z powodu wojny. Po powrocie z Katynia u adwokata przeprowadzono rewizję, w czasie której znaleziono depozyt

Borensztajna, składający się z kilkudziesięciu par ostróg, guzików z polskimi orłami i dystynkcji oficerskich. Oskarżono go o dostarczanie broni i odznak oficerskich członkom AK, w końcu grudnia 1943 r. wywołano z celi i stracono.

Dłużej muszę się zatrzymać nad losem rodziny Duninów. Ojca oskarżono o to, że przed wojną był prokuratorem sądu wojskowego w Łodzi, a synów, że kolportowali wydawnictwa ruchu oporu. Badano ich w Gestapo, zapewniając, że niedługo zostaną zwolnieni. Pewnego pięknego, a raczej ponurego dnia wywołano z celi majora Dunina. Kazano mu zabrać rzeczy, mówiąc, że jest zwolniony. Kiedy nie chciał opuścić więzienia dopóki nie zostaną zwolnieni synowie, gestapowiec siłą wypchnął go na korytarz. Major Dunin-Wąsowicz nie wrócił do domu. Czekano go wyzwolenie z trosk i zmartwień ziemskich, miłosierna kula wystrzelona przez oprawców hitlerowskich. Synowie po odejściu ojca pogodzili się z losem, zachowali godność i spokój. Byli to chłopcy wyjątkowo inteligentni, dobrze wychowani, mili i uprzejmi. Wierzyli, że wrócą niezadługo do domu i obiecali, że odwiedzą swoją rodzinę i przekażą jej wiadomości ode mnie i syna. Dnia 22 grudnia 1943 r. wywołano z celi starszego, Zbigniewa, a nazajutrz młodszego — Jana. Pożegnaliśmy serdecznie tych kochanych chłopców, wierząc, że spędzą święta Bożego Narodzenia w domu, przy choince. Niestety, czekała ich męcząca śmierć pod murami warszawskimi, zbromionymi krwią patriotów polskich.

Pani Dunin-Wąsowiczowa na wiadomość o zamordowaniu męża i synów dostała pomieszczenia zmysłów. Mieszkańcy Żoliborza spotykali ją nieraz w ciężkiej żałobie, prowadzoną przez starego ojca. Poszukiwała wciąż zmarłych. Zatrzymując przechodniów pytała, czy nie widzieli ich przypadkiem.

(D. c. n.)

KONKURS IM. ZYGmunTA NOWAKOWSKIEGO

Dla uczczenia pamięci Zygmunta Nowakowskiego, znakomitego pisarza i oddanego przyjaciela teatru, Obywatelski Komitet Pomocy Uchodźcom Polskim w W. Brytanii rozpisuje konkurs na sztukę dla dzieci i młodzieży.

Warunki konkursu są następujące:

1) Sztuka powinna uwzględniać potrzeby i liczyć się z możliwościami odbioru dzieci polskich (do lat 15), wychowujących się poza Krajem.

2) Sztuka może się opierać na pomysły oryginalnym lub zaczerpniętym ze skarbicy znanych baśni lub bajek. Może być napisana na obsadę z osób dorosłych lub dzieci.

3) Tekst sztuki winien wypełniać widowską całość wieczorową (ok. 2 — 2 i pół godzin).

4) Sztuka nie może być uprzednio ani ogłoszona drukiem ani wystawiona na scenie.

5) Utwory przepisane na maszynie należy nadsyłać do dnia 15 października 1964 r. na adres Komitetu Obywatelskiego (Polish Citizens Committee for Refugees, 33 Weymouth Street, London, W. 1), z napisem "KONKURS" na kopercie zewnętrznej. Każda przesyłka powinna być oznaczona godłem i zawierać imię, nazwisko i adres autora w zamkniętej kopercie, oznaczonej w taki sam sposób.

6) W konkursie zostaną przyznane trzy nagrody: I — £ 100, II — £ 60 i III — £ 40. Jury konkursu ma prawo w uzasadnionych okolicznościach inaczej podzielić globalną sumę £ 200 i może wyróżnić dowolną liczbę sztuk, a w razie pomyślnego wyniku zabiegać o dodatkowe nagrody.



ZAGADNIENIA SPOŁECZNE I GOSPODARCZE —

POŁOŻENIE GOSPODARSTWA POLSKI

Główną przyczyną powodującą zachwianie równowagi gospodarczej Polski, sprawą podstawową, jest niewykonanie przewidzianego w planie gospodarczym wzrostu stopy życiowej. Niezrealizowanie planowanych celów nie wynika ze zmian proporcji w podziale dochodu narodowego, a po prostu z niewykonania planowanego wzrostu dochodu narodowego w ogóle. Wśród wielu powodów, które wpłynęły na ten stan rzeczy, wymienić należy w pierwszym rzędzie spadek produkcji rolnej o 10 proc. Odbiło się to natychmiast na zmniejszeniu o 3,5 proc. całego dochodu narodowego.

Znany ekonomista Jerzy Stępowski pisze w związku z tym:

"Faktem jest, że te niedobory produkcji rolnej zmusiły Polskę do zwiększenia importu zbóż, pasz oraz jednoczesnego ograniczenia eksportu artykułów rolni-spożywczych. Jak

wiadomo Polska nie jest zbyt bogata. Perturbacje te odbiły się więc na możliwościach produkcji przemysłowej, nakazały zwolnienie tempa jej wzrostu w br. ograniczenia zatrudnienia oraz zrezygnowania z realizacji niektórych inwestycji przemysłowych..."

Aby nie być jednostronnym trzeba jednak powiedzieć, że w niektórych działach gospodarki nastąpiły ostatnio pewne posunięcia na korzyść. Tak więc zwiększyła się znacznie produkcja energii elektrycznej, stali, kwasu siarkowego, cementu i tkanin bawełnianych. W zasadzie we wszystkich prawie działach produkcji przemysłowej zanotować można postęp.

Trwała poprawa sytuacji gospodarczej nie nastąpi jednak przedtem nim rolnictwo polskie nie wyjdzie z impasu. W najbliższych latach liczyć na to jednak nie należy.

A R A M I S

RUNA POLSKICH LASÓW NA RYNKACH ŚWIATOWYCH

Lasy w Polsce zajmują 23,7 proc. całej powierzchni kraju. To znaczy, że łącznie cały obszar polskich lasów wynosi 6.800.000 ha. Znaczna ich część rośnie w zwartych dużych kompleksach w stanie niemal pierwotnym. Lasy takie nazywane są puszciami i znajdują się pod ochroną państwa nie tylko administracyjną, ale i naukową. Dzięki temu — w odwiecznym środowisku przyrodniczym — runo lasów jest niezwykle bogate i różnorodne.

Najcenniejszym i najważniejszym towarem eksportowym polskich lasów są grzyby. Zakupują je chętnie w każdej dostarczonej im ilości kraje Europy Zachodniej i Południowej a więc Włochy, Szwajcaria, Francja, Belgia, Holandia, NRF, a także Stany Zjednoczone A. P. i kraje Ameryki Południowej. Cena eksportowa borowika suszonego według standardu amerykańskiego wynosi przeciętnie 750 - 700 zł. Znaczne ilości grzybów suszonych wysyłane są do obu Ameryk również w paczkach, jako prezenty od osób prywatnych dla krewnych, przyjaciół za Oceanem.

Drugim towarem "leśnym", odgrywającym poważną rolę w polskim eksporcie runa leśnego, są czarne jagody (myrtillus). W skali krajowej przeciętnie roczne ich zbiory wynoszą 11 tys. ton, z czego na eksport przeznaczają się około 10 - 10,5 tys. ton. W 1959 r., szczególnie urodzaju, zebrano ponad 15 tys. ton tego owocu. Lubianki z czarną jagodą eksportowane są do Wielkiej Brytanii, Szwajcarii, NRF i do NRD. Polska czarna jagoda jest towarem bezkonkurencyjnym, dzięki swym specyficznym zaletom, jakimi są kolor, smak, właściwości lecznicze, zasobność w witaminy i wieloraka przydatność kulinarna. Czarną jagodę eksportują także USA, lecz ich owoc nie posiada tych cennych właściwości jakimi przyroda polskich lasów obdarzyła polską jagodę. Jej odmianę, siną czyli lodynię (uliginosum), zakupują również chętnie kraje skandynawskie, które ponadto importują z Polski owoc dzikiej róży, znakomicie nadający się do produkcji koncentratów spożywczych i zup.

Tuż za czarną jagodą w statystyce eksportu runa leśnego zajmuje miejsce czerwona jagoda nazywana w Polsce borówką lub brusznicą (vitis idaea), również posiadająca właściwości lecznicze i znakomite walory smakowe i odżywcze. Jest używana na przetwory oraz jako świetny dodatek do mięs, zimą z powodzeniem zastępująca jarzyny. Przeciętnie na eksport dostarczają polskie lasy około 10 tys. ton borówek rocznie.

Mniej więcej w takiej samej ilości eksportowana jest za granicę żurawina (oxycoccus), jagoda leśna zasobna w witaminy, nadająca się na koncentraty i kisiele. W stanie surowym jest cierpka i kwaśna. Podobnie jak borówka jest szczególnie przydatna do konsumpcji zimą. Od kilku lat ze względu na jej wartość leczniczo-odżywczą jest nie tylko zbierana w lasach, lecz również uprawiana w coraz większych ilościach. W latach ostatnich wzrasta ponadto eksport innych owoców runa leśnego, a przede wszystkim jeżyny (rubus), owocu smacznego, bogatego w witaminy, nadającego się zarówno do spożycia w stanie świeżym, jak i do przerobu na koncentraty, wino, soki. Wzrasta także eksport leśnych malin i poziomek.

Spis owoców lasów polskich, eksportowanych za granicę, nie byłby pełny gdybyśmy nie wspomnieli o miodzie leśnym, jednym z najwspanialszych darów polskiej przyrody, wonnym, nasyconym bogactwem ziołowych witamin. A także o różnorodnych ziołach leczniczych i przemysłowych (trawa tapicerska), w których rozmaite gatunki obfitują polskie lasy a szczególnie puszcze polskie i rezerwaty leśne. Ziola są wysyłane za granicę przeważnie po odpowiednim zaszuszeniu. Nie sposób wymienić wszystkich polskich roślin leczniczych spośród których do najbardziej znanych i popularnych należą: dziurawiec zwyczajny (hypericum perforatum), nagietek lekarski (calendula officinalis), jalewice pospolite (juniperus communis) i wiele, wiele innych. Wszystkie wymienione owoce i zioła polskich lasów przynoszą Polsce rocznie ponad miliard złotych.

ROZMOWA Z DYREKTOREM

MUZEUM POLSKIEGO w CHICAGO

Agencja Publicystyczno-Informacyjna w Warszawie ogłosiła rozmowę z dyrektorem Muzeum Polskiego w Chicago Jerzym Walterem. W relacji tej czytamy: "23 września ub. roku Ameryka dowiedziała się o zuchwalej kradzieży dokonanej w Polskim Muzeum w Chicago. Prasa i telewizja opierając się na mylnej informacji podały, że łupem rabusiów padły królewskie utensylia, m. in. najcenniejszy eksponat chicagowskiego muzeum — szabla Stefana Batorego z 1575 r., rzadkie dokumenty królewskie itp. Informacje na szczęście były nieścisłe. Inna rzecz, że cenne eksponaty nie dostały się w ręce złodziei tylko dzięki przypadkowi. O tym właśnie przypadku i nieznanym szczegółach rabunku rozmawiamy z dyr. Walterem.

— Lista przedmiotów podana przez prasę w pierwszej wersji — mówi dyr. Walter — była nieprawdziwa. Ani szabla Batorego, ani żadne dokumenty królewskie nie wpadły w ręce rabusiów. Po prostu eksponatów tych nie było krytycznego dnia w muzeum. Zostały wypozyczzone na wystawę w Filadelfii.

— Mogłoby pan przypomnieć, jakie eksponaty zostały skradzione?

— A więc kolekcja znaczków polskich wydanych specjalnie z okazji wystawy światowej w New Jorku. Złodzieje musieli się chyba orientować w wartości znaczków — ukradli najcenniejsze bloki, nie perforowane. Zabrali także arkusz znaczków z podobizną Paderewskiego. Poza tym zginęły przedmioty osobiste mistrza. Złote pióro, którym złożył podpis na traktacie wersalskim, stempel, którym sygnował ten dokument, oraz cenny złoty zegarek wysadzany brylantami, ofiarowany Paderewskiemu w 1935 r. przez Związek Weteranów w USA, z okazji 75-lecia urodzin mistrza.

— Zginął także... zdobyczny pistolet z II wojny światowej, dar amerykańskiego oficera polskiego pochodzenia, który walczył w Europie. Nawiasem mówiąc broń była popsuta, a złodzieje ukradli ją zapewne z myślą o użytku...

— Jak szybko policja ujęła rabusiów?

— Po miesiącu. Złodzieje obrabowali muzeum w identyczny sposób jak poprzednio cztery inne obiekty w Chicago — pracowali w gumowych rękawiczkach nie pozostawiając najmniejszego śladu. Są domniemania, że jeden z nich doniósł o napadzie policji.

— Sądząc po precyzji, z jaką kradzież została dokonana, złodzieje musieli się do niej przygotowywać?

— Nie ulega wątpliwości, że muzeum było od jakiegoś czasu pod ich obserwacją. Musieli także obserwować woźnego muzeum Leona Krępcia: kiedy przychodzi i wychodzi, o jakiej godzinie robi obchód budynku itp. Włamanie do muzeum nastąpiło o 6 rano w niedzielę, kiedy muzeum jest zamknięte. Rabusie narzucili woźnemu opaskę na oczy, po czym związali go. Woźny przeleżał tak przez cztery godziny.

— Czy odzyskano wszystkie skradzione eksponaty?

— Nie. Brak dotychczas złotego krzyża i kielicha, trzech medali i stempla Paderewskiego. Jestem jednak dobrej myśli, że i te przedmioty odzyskamy.

— Na jaką sumę ubezpieczone są zbiory muzeum?

— Na pół miliona dolarów.

— Czy odpowiada to realnej wartości zbiorów?

— Nie. Wartość eksponatów oceniana jest na dwa miliony. Niestety, nie posiadamy środków na opłacanie stawki ubezpieczeniowej od tak znacznej sumy. Wynosi ona około 12 tysięcy dolarów rocznie".



NA NASZYM PODWÓRKU — NA NASZYM PODWÓRKU

PRZEGLĄD WAŻNIEJSZYCH WYDARZEŃ

Witold Małcużyński koncertował w São Paulo dwukrotnie dn. 27 i 29 kwietnia. Drugi z tych koncertów artysta poświęcił całkowicie Chopin'owi. Sala Teatru Miejskiego wypełniona była po brzegi. Wielu melomanów stało nie mając miejsc siedzących. Rozentuzjasmowana publiczność nie dała artyście zejść z estrady.

Dn. 9 kwietnia w salonach Klubu 44 odbył się pokaz filmu krótkometrażowego i przezroczy z wyprawy do Amazonki. Organizator wyprawy, Edmund Bielawski, znany polski filmowiec, uzupełnił pokaz słowem wiążącym. Zadziwił wspaniałym kolorem i fotografią zdjęć. Sądzić należy, że długometrażowy film z wyprawy, który znajdzie się wkrótce na ekranach całego świata, spotka się z dużym i zasłużonym sukcesem.

W Klubie 44 dn. 25 kwietnia odbyła się zabawa taneczna, na którą licznie przybyła miejscowa Polonia. Stwierdzić należy z prawdziwą przyjemnością, że tym razem dopisała młodzież. Przygrywała orkiestra znanego pianisty Robledo. Rozbawieni goście opuścili salony Klubu dopiero nad ranem.

W pierwszej dekadzie marca bawił w Paranie znany pisarz polski, Arkady Fiedler. Pobyt pisarza w Brazylii był tym razem niedługi i ograniczył się do odwiedzenia starych znajomych w Ponta Grossa, Malecie, Irati i w Kurytybie. Właściwy cel wizyty Fiedlera w Ameryce Południowej stanowiła Gujana brytyjska. Polonia parańska witata autora

Pamiętniki Generała Józefa Hallera
Nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego "Veritas" w Londynie ukaza-



Nowy film polski "Liczę na wasze grzechy" o zabarwieniu komediowym i sensacyjnym. W rolach głównych występują: Ewa Krzyżewska, Wanda Koczevska, Krystyna Walczakówna, Jerzy Jogalla i Jan Kociniak. Na zdjęciu — Ewa Krzyżewska.

"Kanady pachnącej żywicią" bardzo serdecznie. Pisarz, zwierając się ze swych planów, oświadczył, że odwiedzi Brazylię ponownie w końcu br.

Redakcję naszego pisma odwiedziła współpracownica czasopisma polskiego "Prawo i Życie", redaktor Magdalena Klein. P. dr. Klein, która jest specjalistką z zakresu prawa rzymskiego, zajmuje stanowisko lektora języka angielskiego.

Towarzystwo Polsko-Brazylijskie im. Tadeusza Kościuszki w Kurytybie obchodzić będzie w czerwcu br. jubileusz 75-lecia swego istnienia. Towarzystwo w ostatnich czasach pod przewodnictwem dr. Jana Schiffera przeżywa swój renesans. Kupiono ostatnio radiolę. Biblioteka zasilona została nowymi książkami polskimi. Towarzystwo urządza prawie w każdą sobotę jakąś imprezę kulturalną: zabawy taneczne, pokazy filmów polskich lub występy artystyczne, w których bierze udział zespół młodzieży pod kierunkiem p. Janiny Urbanowej.

Polska Grupa Folkloru przy Towarzystwie União Juventus w Kurytybie wybrała nowy zarząd na rok 1964. Przewodniczącym został p. Edward Szewczak, wiceprzewodniczącym p. Wincenty Flenik, sekretarzem generalnym p. Romilda Wolska, pierwszym sekretarzem p. Ivo Dyniewicz, skarbnikiem p. Jan Kozak, zastępcą skarbnika p. Jan Herold, a gospodarzem p. Henryk Kujawa.

W niedawno "Pamiętniki" gen. Józefa Hallera. Pamiętniki te stanowią niezmiernie cenne źródło do dziejów narodu i wojska polskiego w pierwszej połowie XX stulecia.

Pamiętnik jego ma z natury rzeczy pewne cechy starcze. Ale nie umniejsza to jego wartości. Autor zachował zadziwiająco świeżą pamięć i opisuje nawet bardzo dawne dzieje z wielką dokładnością i plastycznością. Książka pisana jest dobrotnie. Sprawy sporne omawiane są w niej pojednawczo i bez zawziętości. Wielu wywołujących spory okoliczności, które gen. Haller poruszał czasem w rozmowach, w pamiętniku swoim uznał on za stosowne nie tykać. Historycy mogą to uznać za wadę, ale dla zwykłego czytelnika jest to raczej zaleta: obraz przeszłości, oglądanej oczyma człowieka, który niezmiernie wiele widział i przeżył, i który opowiada to co wie z największą bezstronnością, rysuje się przez to w zarysach ogólniejszych, jak przystało na postać historyczną wielkiej skali.

Ruch statków polskich w Brazylii w maju
Przyjście statków z portów polskich

M/S WYSPIAŃSKI — Rio de Janeiro — około 10.5.64. — Santos — około 13.5.64.

Statek przywozi sól oraz obrabiarki i motory elektryczne, aparaty fotograficzne, powiększalniki, mikroskopy, drut kolczasty, łóżyka, części rowerowe, art. chemiczne i farm. i inne.

M/S SIENKIEWICZ — Rio de Janeiro —

Czarna Pani

(C. d. z nr. 39)

Poprosiliśmy, żeby nas zostawiono dalej razem — celę skazanych i czekaliśmy. Całe dni czekaliśmy. Obserwowaliśmy się wzajemnie. Całe dni bez przerwy — co chwilę śledziliśmy, co się dzieje z naszą skórą. Dotykaliśmy migdałków. Pięć dni i nocy nie spaliśmy. Potem byliśmy zmęczeni lekko i bezsennością. Rwaliśmy włosy z głowy, kiedy rozpatrywaliśmy, jak to było: jak z tantym jedliśmy, myśliśmy się razem, jak graliśmy w karty. Raz nawet on wygrał, splunął lekko na lewo, a potem w następnym rozdawaniu te karty: as pik, dwa króle, przypadły mnie. Dwa tygodnie czekaliśmy na śmierć. Ja byłem pewien że umrę — moja ospa nie przyjechała się. Mało słów wymówiliśmy przez ten czas. A potem wiedzieliśmy, że będziemy żyli i zaczęliśmy się tu śmiertelnie nudzić.

W sąsiednim pawilonie poznaję 15-letnią Marysię, drobną blondynkę, ze względu na wiek zaliczona jest do dzieci, jak i jej towarzysz, piętnastoletni Bolek, dlatego cieszą się większą swobodą. Marysia daje mi do przeczytania dwa bruliony:

"Dziś jest chyba najgorszy dzień jak dotąd nigdy. Rano zachorował pan C. (ojciec tego Bogusia, który też był chory) na czarną. Jednym słowem tragedia. Rano musiałam p. K. guziki przyszyć, bo w nocy poobrywał je. Wszyscy jęczą, lekarze, siostry i w ogóle jeden ryk słychać. Gdy przyjechali po C., na oddziale powstała jednak panika. Po wzięciu go, cały oddział dezynfekowali, zlałi, to było chyba po kostki. W naszej sali wszystkie strasznie płaczą.

NAZAJUTRZ:

Bolek był rano u mnie. Nie było tu nikogo, miał wtedy szansę, skorzystał z tego, bo pocałował mnie dwa razy, raz w policzek — drugi w oczko moje. Kazałam mu wyjść, by nas nikt nie przegonił, bo byłoby po uszy nieprzyjemności. Dostałam od Bolka kawona, nie chciałam brać, ale powiedział, że jeżeli nie wezmę, to znaczy, że i jego także. Przyszła siostra oddziałowa i krzyczała na niego, ponieważ był bez fartucha, a u nich na sali wszyscy mieli 37° i bali się, bardzo, aby to nie było groźne.

Psie Pole to jest ogromna równina, wszędzie można widzieć drzewa. Wszędzie są druty kolczaste. Tu jest bardzo romantycznie. Chciałabym tu mieszkać. Jesteśmy z dala od ruchu, od gwaru, tak że można spokojnie odetchnąć. Bardzo mi się tu podoba. Chciałabym tu być trochę dłużej, ale pod warunkiem, że byłaby tu większa swoboda.

NAZAJUTRZ:

Wczoraj nakreśliłam sobie włosy i dzisiaj rano ładnie się uczesałam. Podobałam się wszystkim, do tego ubrałam się w czystą i świeżą wiazę.

Dostałam przydział na pisanie listów. Przyszła siostra i dała nam karty pocztowe, tak że możemy dać jakikolwiek znak życia o sobie. Musimy pisać tylko ołówkiem, bo karty idą do sterylizacji, tak że atrament by

D. c. na str. 22

około 12.5.64. — Santos — około 15.5.64.

M/S HUGO KOLLATAJ — Rio de Janeiro — około końca maja.

Wyjście w kierunku Europy

M/S JÓZEF KONRAD — Porto Alegre — około 11.5.64. Statek ładuje tytoń, grykę i kawę.

Rio Grande około 14.5.64. — Paranaguá około 18.5.64. — Santos około 21.5.64. — Rio de Janeiro około 25.5.64.

M/S KOCHANOWSKI — Salvador około 15.5.64. — ładuje siła.



PRZEGLĄD WAŻNIEJSZYCH WYDARZEŃ

Czuje, że zamieniam się pomalu w meteorologa, gdyż moje comiesięczne gawędy rozpoczynają się od... pogody. I tym razem nie inaczej. A więc przede wszystkim tegoroczna zima nie była zbyt surowa dla Polski. Niektórzy określają ją nawet mianem łagodnej, ale to chyba w porównaniu do ubiegłej, o której mówi się, że była "zimą stulecia". Wiosna, ta kalendarzowa, która rozpoczyna się, jak wiadomo, z dniem 22 marca nie przyniosła jednak spodziewanego ciepła. W niektórych okolicach kraju, jak np. w krakowskim, szalały od 15 do 18 marca śnieżyce i panowała niska temperatura. A potem przyszły zwykłe chłapy i długo, długo trzeba było jeszcze palić w piecu. Kto nie zapomniał o wiosnie to, jak zwykle, ptaki. Pierwsze, jeszcze w pierwszej połowie marca przylatywały stada dzikich kaczek i gęsi. Posiadały na wodzie na niezamrażonych rejonach Wisły i Pilicy, szukając tam pożywienia. Później, gdy się nieco ociepliło, pojawiły się na polach skowronki. W lasach świętokrzyskich i sadach zasygnalizowano powrót szpaków. W końcu marca cietrzewie, których w lasach woj. kieleckiego szacuje się ponad 3 tys., zaczęły się zbierać na tokowiskach.

Nagle po długotrwałych chłodach zrobiło się bardzo ciepło, lody zaczęły pękać na rzekach i starym zwyczajem, sięgającym piastowskich czasów, spadła na kraj klęska powodzi. Najgroźniejsza sytuacja powstała w okolicy Doliny Maciejowickiej, gdzie utworzył się duży zator lodowy długości ok. 6 kilometrów. Zator bombardowano ze śmigłowców i wysadzano dynamitem, dzięki czemu udało się uniknąć większych strat. Na Lubelszczyźnie wylał Wieprz i jego dopływy. Tysiące hektarów łąk, pastwisk i pól uprawnych znalazło się pod wodą. We wsiach Łysobyki, Zakale i Skarbiczin w powiecie radzyńskim zaszła konieczność ewakuowania ludności.

Gdy piszę te słowa (w drugiej połowie kwietnia) wszystko już, oczywiście, wróciło do normy. Obliczaniem strat powodziowych

zajmują się statystycy i inspektorzy ubezpieczeń powszechnych, my zaś na chwilę zajmijmy się kłopotami pań w Polsce. Jak każda kobieta tak i kobieta polska z nadejściem wiosny przeprowadza remanent swej garderoby, odkrywając jak wiele jej brakuje do tego, żeby się mogła uważać za ubraną. O-tóż w tym roku mieć ona będzie jedno tylko zmartwienie: skąd wziąć pieniądze na zakupy, bo z modnymi fasonami, kolorami i dodatkami kłopotów nie będzie. Rysownicy polscy na podstawie wzorów paryskich lansują olbrzymią gamę jasnych, słonecznych, wielobarwnych wzorów. Dominują wzory kwiatowe. Polskie sklepy upodobniają się coraz bardziej do ładnych, bogatych magazynów wielkich stolic europejskich.

A teraz na zakończenie coś z dziedziny kultury. W Starym Teatrze w Krakowie wystawiono sztukę dramaturga brazylijskiego, Nelsona Rodrigueza: "Złoty pył", w reżyserii Zbigniewa Ziemińskiego. Sztuka nie spotkała się na ogół z przychylnym przyjęciem. Zdania były podzielone: jedni oburzali się na przedstawienie, że niemoralne i żądali zdjęcia go z afisza, inni entuzjastowali się nim.

Jeden z krytyków, Roman Szydlowski sądzi, że ani jedni, ani drudzy nie mieli racji. Sztuka jest, jego zdaniem dość płaska i nudnawą, chwilami wulgarną, historią z życia brazylijskiego półświatka. Coś w rodzaju "Opery za trzy grosze" dla ubogich. Reżyseria Ziemińskiego, powiada Szydlowski, nie wyszła poza staranną poprawność. Widać było, że kieruje bardzo dobrze pracą aktorów, ustawia precyzyjnie sytuacje, ale nie potrafił tchnąć w spektakl życia, temperamentu. Widać było i słyszeć jak pracuje ten starannie wypracowany i puszczony w ruch mechanizm. A może, zapytuje Szydlowski, polski teatr zrobił wielki krok naprzód, a Zbigniew Ziemiński pozostał tam, gdzie opuścił kraj przed laty?

(as)

mu wyrwać, tak, że tym piórem wbiłam sobie stalówkę w palec, cały teraz jest czerwony, a krew zamiast płynąć czerwona, to była niebieska. Chyba już się na tym skończyła nasza miłość, która trwała jak jeden sen.

Kiedyż nadejdzie ta zbawienna godzina, że nas wypuszczą. Być niezależnym od innych! Mieć siebie w swojej dyspozycji! Jutro zakładamy głodówkę i domagamy się wolności.

NAZAJUTRZ:

Strasza wieść: nasz pan C. nie żyje. Co będzie z nami?

Bolek powiedział mi, że gdy ja z nim nie rozmawiam, on w ogóle nie jadł i nie spał i całe noce musiał się tłakać z myślami. Wczorzem prosił mnie, aby mógł mnie pocałować. Nie pozwoliłam mu. Powiedział mi tylko tak: dziś nie, jutro powiesz nie i gdy ja będę odjeżdżał z kwarantanny, powiesz także nie. I spojrzalam na niego, miał oczy pełne łez. Gdy mu powiedziałam, że go nie kocham, po prostu rozplakał się to był płacz taki, że ja również nie mogłam tego przeżywać i także płakałam. Płakaliśmy oboje, bo byliśmy szczęśliwi. Bolek nie jest ta-

ki jak inni chłopcy. Ja przecież Bolka — bardzo kocham, nie wiem dlaczego tak postępuje. Gdy mnie całował, myślałam, że ze szczęścia umrę.

Pani B. jest bardzo zła na mnie dlatego, gdyż ja nie potrafię być smutna i przygnębiona z tego powodu, że my tu tak długo jesteśmy. Cóż ja zrobię, kiedy ja nie potrafię się martwić, kiedy mnie to wcale nic nie przeszkadza, że tu jesteśmy.

Pan C. podobno żyje".

Dr. Hora szef izolatorium zaprasza nas na obiad. Unosząc maskę jemmy zupełną jarzynową, kotlet z buraczkami, ziemniakami purée, obficie oblanymi masłem, kompot. W tym czasie moje notatki i pióro leżą pod lampą bakteriofobyczną. Zapamiętuję więc historię męża, który cały urlop spędził w rowie przed izolatorium, patrząc w stronę pawilonu, gdzie była żona, czasem krzycząc z całej siły jakieś słowo. Historię "powstania" w jednym z bloków, który zabarykadował się nie chcąc przyjąć izolowanych z nowych kontaktów. Sprawę konfliktu między mężczyznami i kobietami z jednego zakładu pracy o paczkę od rady zakładowej. Obrażone kobiety przestały się ukazywać w oknach od strony kolegów, a oglądanie ich w kostiumach kąpielowych było ich jedyną rozrywką, jedynym spektaklem. Dr. Siekanowicz, izolowany z powodu kontaktu z chorymi i pracujący w izolatorium jako lekarz, przynosi Hymn Izolatorium Psie Pole, pt. "Kwarantanna", ułożony przez "pensjonariuszy" i śpiewany przy wszystkich ważniejszych okazjach:

*Na Psim Polu dość wesoło
Dzieci kręcą się wokół
Zewsząd płynie radość, śpiew
Czas nikomu się nie dłuży
Czy to mały czy to duży.
I tak płynie dzień za dniem.*

Refren:

*Kwarantanna, kwarantanna
Tam przyjemnie i wesoło spędzisz czas
Za drutami kolczastymi
Do kwarantanny na Psie Pole, jedź choć raz
Bo tam jesteśmy wciąż bliżej nieba
Gdzie szumią drzewa i zboża łąn
I cóż nam więcej do szczęścia trzeba
Gdy dość jest chleba i kawy dzban...*

Po wizycie w Izolatorium zwracam się do Triumwiratu o pozwolenie odwiedzenia synnego już na całą Polskę szpitala ospowego w Szczodrem. Jednak Triumwirowie kategorycznie odrzucają moją prośbę. Dr. Rodziewicz godzi się jednak, abym z odciętymi od świata przeprowadził rozmowę telefoniczną. Nakreśla numer znany nielicznym we Wrocławiu, przywołuje doktor Surowcową. Krótko przedstawia mnie, zapowiada, że będę za chwilę mówił i oddaje mi słuchawkę.

— Dzień dobry pani doktor — mówię. Słyszę dźwięczny, spokojny głos:

— Dzień dobry panu.

— Ile czasu będę mógł z panią rozmawiać?

— Nie będę z góry określała. Gdyby rozmowa się przedłużała zbyt długo, to powiem.

— Nie wiem, jak pani wygląda.

— Dyrektor Rodziewicz opisz panu. Ja do takich rozmów jestem już przyzwyczajona. Od 17 lipca, półtora miesiąca, słyszę tylko głosy — tych najbliższych, najlepiej mi znanych — i obcych, których nigdy nie widziałam przedtem.

(Dok. w nast. numerze)

CZARNA PANI

(D. c. ze str. 21)

wypowiadał. Napisałam do Haliny, mamusi i Kazika.

Czytamy o Skopje, o zatruciu grzybami (8 osób), o wybuchu niewypalów (10 osób). Same kataklizmy. Każdy zabrał więcej niż osipa.

Pani Wacia niechcący stłukła talerz. Wszystkie babki krzyczały na cały głos. Mężczyźni przeprowadzili się na inne sale, bo bali się spać na tej sali.

NAZAJUTRZ:

Wróżył mi dzisiaj p. K. i powiedział mi, że mam trzy osoby fałszywe, siostrę Stasię i panią B. i jeszcze jakiegoś faceta (Bolek?). Strasznie płakałam. W ogóle tu wszyscy dużo wróżą sobie.

Bolek przyszedł tu z kartami i wziął pamiętnik, a miałam pióro w ręce i chciałam

**SPRZEDAJE i PRZYJMUJE
W KOMIS
KSIĄŻKI POLSKIE
SEWERYN HARTMAN**

Av. Ipiranga, 1071 — cj. 811
Caixa Postal 4530
Tel.: 35-5432

SÃO PAULO

LUD

O MAIOR JORNAL
POLONES DA AMÉRICA
LATINA
FUNDADO EM 1920

**BOA IMPRESSÃO
VASTA DISTRIBUIÇÃO
TRADIÇÃO**

Circulação

E O PRIMEIRO EM
TERRAS DO INTER-
IOR PARANA-
ENSE!



Penetração

E O PRIMEIRO EM
PENETRAÇÃO NOS
LARES DO IN-
TERIOR!



Vantagem

O "LUD" CONTA
COM MILHARES DE
LEITORES. QUE
TÊM O QUE VEN-
DER E COM QUE
COMPRAR.

FAÇA DELES SEUS
CLIENTES. — SEU
CRUZEIRO RENDE-
RÁ MUITO MAIS.



ANUNCIE NO LUD

REDAÇÃO E ADMINISTRAÇÃO: — RUA CABRAL 846
FONE: 4-1057 — CAIXA POSTAL 155 — CURITIBA - PARANÁ

E FAÇA AGORA SUA ASSINATURA

ACMATEG

**MATERIAIS
DE CONSTRUÇÕES
EM GERAL LTDA.**

LADRILHOS - AZULEJOS

CERÂMICA

ELEMENTOS VAZADOS

LADRILHOS ESMALTADOS

MATERIAL DE CONSTRUÇÃO

EM GERAL, ETC.

Avenida Santo Amaro, 1480

Fone: 61-5862 — Recados

SÃO PAULO

NAJWIĘKSZE I NAJPOPULARNIEJSZE PISMO
POLSKIE W KANADZIE

ZWIĄZKOWIEC

WYDAWANE DWA RAZY W TYGODNIU
które zawsze wyczerpująco informuje o ostatnich
wydarzeniach w Kanadzie, Polsce i w świecie.

Prenumerata roczna:

w Kanadzie \$ 6.00 — za granicą \$ 7.00

Po bezpłatne numery okazowe pisać do:

POLISH ALLIANCE PRESS

1475 Queen St. W. Toronto 3, Ont.

Tel.: LE. 1-2491 — CANADA

Casa Francera

PEDRALIT REVESTIMENTOS LTDA.

ESC.: R. Barão de Itapeteninga, 124 - 6.º. Tels. 36-6734
e 36-0750 — FABRICA: Rua Amaro Cavalheiro, 381 (Pi-
nheiros) - Tel. 8-1189 — SÃO PAULO.



REVESTIMENTOS EM GRANILITE
DECORAÇÕES EM GESSO
MASSAS PARA REBOCO
ARTEFATOS DE CIMENTO
ARTEFATOS DE GRANILITE
LADRILHOS



*Uzdrowisko Międzyzdroje na pięknej Ziemi
Kłódzkiej w szacie zimowej.*



*Rodzina ze wsi Tatary w pow. Ostrołęckim
dzieli się opłatkiem w wieczór wigilijny.*



W Ognisku Plastycznym w Bielsku Białej.



Studencki kabaret "Kalambur" we Wrocławiu.

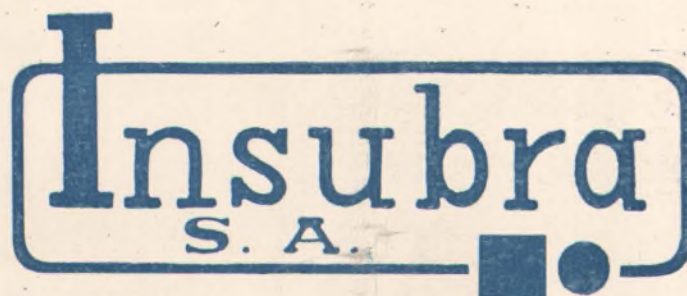
RESIL S.A.

INDÚSTRIA E COMÉRCIO

RUA MARTIM BURCHARD 254

FONES: 93-5050 — 92-2498

**CARCASSAS DE MOLAS DE AÇO
PARA VEÍCULOS MOTORIZADOS**



A MAIS COMPLETA LINHA DE TÔDAS AS MÁQUINAS PARA SEU ESCRITÓRIO

Distribuidores exclusivos no Brasil das seguintes marcas:

- ADLER — máquinas de escrever e de contabilidade
- EVEREST — máquinas de escrever e somar, de calcular e de contabilidade
- ROTO-CENTO-PRINTO — duplicadores e mimeógrafos a álcool, tinta e processos heliográficos
- CITOGRAPH — equipamentos de endereçar e organização
- ORMIG — máquinas de racionalização e organização de trabalho
- DIEHL — máquinas de calcular superautomáticas
- POSTALIA — máquinas para franquiar correspondência e selos fiscais.

São Paulo: — rua Vitória, 302/4, fone: 37-3171

Rio de Janeiro: — Av. Rio Branco, 138, 14.º, fone: 22-6663 e 22-9880

Pôrto Alegre: — Praça Rui Barbosa, 220 Ed. Tannhauser 2.º, fone: 8323

DISTRIBUIDORES AUTORIZADOS NAS OUTRAS CAPITAIS DO PAÍS.



Tricot-lã

sweater
original

